N. 49. WARSZAWA d. 25 Listopada (7 Grudnia) ROKU 1872.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

O postępie.

(Dalszy ciąg.)

Słowa wyrzeczone przez kwakra w Ameryce i powtórzone w Anglii, pochwycił zapewnie Montesquieu i poraz pierwszy w r. 1748 ukazała się w książce francuzkiej protestacya przeciw handlowi murzynami. Księga ta, nosi tytuł: *l'Esprit des lois*, a protestacya napisana z właściwą Montesquieu'mu gorzką ironją, którą posługuje się w obronie sprawiedliwości i prawdy. „Jasna rzecz, mówi on, iż nie można upatrywać nic złego, w tem skazywaniu murzynów na wieczną niewolę. Przecież koniecznie potrzebujemy cukru, należy więc poddać w jarzmo ludzi, aby nam go wyrabiali, a potem, ludzie ci mają czarną skórę a przecież nie można przypuszczać żeby dusza miała zamieszkiwać w czarnem ciele, nadto mają nosy tak ogromnie spłaszczone! że nie podobna litować się nad nimi. Nie dość na tem; gdybyśmy ich uważać mieli za ludzi, czemże bylibyśmy wówczas my, co ich na straszne skazujemy niewolnictwo? O wtedy nie bylibyśmy chrześcijanami! i dodaje, jeżeliby, jak to utrzymują niektórzy, murzyni są ludźmi, czyliż monarchowie i książęta co tyle bezużytecznych zawierają konwencyi, nie byliby już od dawna sprzymierzyli się w obronie sprawiedliwości?

Obok powyższych idei, których pojawienie się w świecie zaznaczyć można, staje trzecia, żywsze daleko budząca zajęcie, bo patrzyliśmy na jéj wyłonienie, idea zniesienia kary śmierci. Dziś kwestya ta zajmuje nietylko głębokich myślicieli, ale izby i parlamenta wszystkich ucywilizowanych krajów. Dawniéj nikt nie pomyślał o niéj, aż do czasu, kiedy Beccaria pierwszy podniósł głos w tym przedmiocie;—było to w pełni XVIII-go wieku. Łatwo pojąć powody téj obojętności. Wówczas, sądząc zbrodniarza, widziano tylko zbrodnię i konieczność jéj ukarania, i z tego stanowiska można usprawiedliwić karę śmierci, bo niepodobna odmówić społeczeństwu prawa zabezpieczania się od szkodliwych dlań ludzi. W dziewiętnastem dopiero stuleciu objawiła się światu nowa idea, idea odpokutowania i żalu. Tak więc ojcowie nasi widzieli tylko karę, my zaś z nowego zapatrując się stanowiska, twierdzimy słusznie: że jakiejkolwiek człowiek dopuścił się zbrodni, nie należy pozbawiać go możności odpokutowania za nią przez żal i poprawę i dopuszczać się na nim zbrodni.

Idea głęboko sprawiedliwa i głęboko chrześcijańska rozszerza się coraz więcéj, i więcéj zyskuje stronników; miejmy nadzieję, że niezadługo zwycięży stanowczo, i wtedy nowe pokolenia znowu dziwić się będą, jak to być mogło, że przodkowie ich tak długo w dzikiem pogrążeni barbarzyństwie, bezużytecznie zabijali swych bliźnich.

Otóż nowa zmiana, nowe, że tak powiem rozjaśnienie sumienia ludzkiego.

Teraz przejdźmy do idei postępu. W księdze Montesquieu'go: *Esprit des lois*, wydanéj w 1748 r. któ , uważać można za zbiór rozległy wiedzy ludzkiéj, nie ma jeszcze wzmianki o postępie, aż w niespełna dwa lata później w r. 1750, młody, dwudziesto trzech letni seminarzysta, nazwiskiem Turgot, wygłosił w Sorbonie mowę o stopniowem postępie umysłu ludzkiego. Od téj więc chwili pojawiła się w świecie idea postępu, i rozpoczęła walkę z ideą całkiem sprzeczną przeważnie wówczas panującą, z ideą powszechnego upadku, którą zwolna musi pokonać i stłumić. W mitologicznych rocznikach wszystkich ludów odznaczających się jakąś cywilizacyą, przedstawiona jest błogosławiona epoka, wiek złoty, era powszechnej pomyślności, kiedy wszyscy ludzie byli zupełnie niewinni, rzeki i strumienie płynęły mlekiem i miodem, wszyscy nic nie robili, co zdaje się uważano za najdoskonalsze szczęście. Potem, powoli ludzie stali się złymi, wtedy to powstały wojny i ludzie zaczęli staczać z sobą mordercze walki: odtąd następował coraz większy upadek, a poeci opiewający szczęście ubiegłych wieków, przeklinają w ogóle teraźniejszość, przedstawiając ją w stanie największego upadku, i tem się jedynie pocieszają, że jak mówił Horacy, „jeśli my mniéj jesteśmy warci niż ojcowie nasi, to i oni mniéj byli warci niż ich dziadowie, a z kolei nasze wnuki stokroć będą gorsi od nas".

Tę legendę o złotym wieku napotykamy wszędzie.

W Indyach byk jest symbolem czterech wieków świata; w pierwszéj epoce stoi na czterech nogach; w drugiéj już tylko na trzech, co dowodzi, że sprawiedliwość zakulała; w trzeciéj dwóch już nóg brakuje, a w obecnéj epoce jedna mu już tylko pozostała. Dziwna rzecz, że potrafi utrzymać się na niéj. Sprawiedliwość zupełnie zaginęła w świecie, i zaledwie miłosierdzie i litość utrzymać się jeszcze na nim zdołały. U Persów przechowuje się także podanie o pierwotnym raju; u Greków, Rzymian, wszędzie niemal napotykamy tę ideę powszechnego upadku. Zdawałoby się, że wraz z pojawieniem się chrystyanizmu, téj religii miłości, nadziei i wiary, powinna była zakiełkować w świecie idea postępu: ale pierwsi chrześcijanie znajdowali wszędzie męczeństwo i prześladowanie, a nadto sądząc, że niezadługo nastąpi koniec świata, nie mogli uwierzyć w postęp rodzaju ludzkiego. Taż sama rozpaczna idea przejawia się w pośród strasznych wstrząśnień poprzedzających upadek państwa rzymskiego; barbarzyńcy szerzą wszędzie nędzę i zniszczenie;—a gdy stali się panami świata, własność i życie każdego tak były zagrożone i niepewne, że w wielu ówczesnych aktach donacyi dla kościołów, napotykamy następujące motywa, „ponieważ niemylne oznaki wskazują, że zbliża się koniec świata, zatem zapisuję i darowywam mój majątek temu lub owemu kościołowi". Tak było aż do r. 1000, w którym miał się skończyć świat, a z nim klęski i nieszczęścia ludzkości. W podobnym stanie rzeczy, nie mogła zrodzić się idea postępu.

Nareszcie minął rok 1000, lata upływały, a koniec świata nie następował; wtedy ludzkość zaczęła odzyskiwać odwagę, literatura i sztuki poczęły budzić się do życia, zakwitły bujnie w XII-em i XIII-em stuleciu, jak tego dowodzą wspaniałe po dziś dzień jeszcze wznoszące się katedry. Wtedy zaczęto przyjaźniéj oceniać przeszłość, ale nie bardzo dowierzano teraźniejszości, bo przodkowie nasi nie pokładali wielkiego zaufania w książętach i panach, i nie dziw, przebyli szkołę doświadczenia. Przedewszystkiem tedy dowiadują się od swoich władzców, aby nienaruszenie zachowywali zwyczaje dawnych, do brych czasów; tak więc nawet wsferze względnie szczęśliwéj, społeczeństwo zawsze spoglądało w przeszłość. Nadszedł wiek Odrodzenia, i za czemże goni, co uwielbia rozbudzona myśl ludzka? Oto Rzym i Grecyę, więc przeszłość, zawsze przeszłość. I dziwnem, niepojętem złudzeniem, wyzwalające się umysły wyobrażają sobie, iż tem są wolniejsze, samoistniejsze, im więcéj odnoszą się i łączą z wiekami starożytnemi. Jednocześnie z odrodzeniem pojawia się Reforma, następuje zupełne zerwanie z tradycyą; zdawałoby się, że rozum ogłosi swe wszechwładztwo, a wyzwolony duch ludzki ujrzy otwierającą się przed sobą nieokreśloną przyszłość; inaczéj się stało. Reforma spogląda w przeszłość, pragnie odbudować pierwotny Kościół, wrócić się do II-go i III-go wieku, jak gdyby człowiek mógł wskrzesić przeszłość, jak gdyby woda rzeki mogła dwa razy płynąć na jednem miejscu. I tak od najdawniejszych czasów przypisywano przeszłości zalety, jakich nie posiadała, upatrywano w niéj najwyższe dobro, piękno i dobrobyt, najdoskonalszy ideał szczęścia ludzkiego.

Nadszedł wiek XVIII. W nim to umiłowanie przeszłości pod nową objawia się formą. Rousseau zaczyna sławić i wielbić naturę, a naturą jest dla niego ów wiek złoty, w którym człowiek żył w stanie nie towarzyskim, to jest epoka w któréj dla nas człowiek nie istnieje jeszcze, bo nie podobna nam pojąć człowieka po za granicami społeczeństwa, jeźli wyraz ten ma przedstawiać to co i Rousseau rozumiał przez niego, to jest pierwszą rodzinę. Mówi o człowieku żyjącym w lasach, i nie wyobraża go sobie takim jakim był rzeczywiście w tym pierwotnym stanie, to jest ujarzmionego przez naturę zewnętrzną, żyjącego pod drzewami, wystawionego na zmiany powietrza, na łup gorączki i drapieżnych zwierząt;—nie—według Rousseau'a natura opiekuje się pierwotnym człowiekiem, broni go od dzikich zwierząt, a upadek jego rozpoczyna się od chwili wejścia w społeczeństwo. „Pierwszy człowiek, mówi on, który zasiał na zagonie ziarno zboża, rzucił zarazem podstawy cywilizacyi i ujarzmienia rodu ludzkiego.“ Podobna teorya daje niemiłosierną odprawę wszelkiemu postępowi. Jednakowoż Rousseau wiedział, że rodzaj ludzki może się udoskonalać, ale uważa to za najstraszniejszą klęskę, co wychodzi na jedno, jak gdyby powiedział, że ta możność udoskonalenia zapewnia człowiekowi prawo zaguby, i dodaje dowcipnie, że ze wszystkich istot żyjących, jeden tylko człowiek może zniedołężnieć, ponieważ, mówi on, tym sposobem wraca się do swego pierwotnego stanu. Bydlę nie może się udoskonalać i dla tego pozostaje jakiem jest, sam tylko człowiek posiada ten nieoceniony przywiléj, że może oszaleć lub zgłupieć.

(d. c. n.)

DEPOZYT

POWIEŚĆ

PRZEZ

WALERJĄ MARRENÉ.

(*Dalszy ciąg*).

Świat realny coraz bardziej uciekał z jej oczów, aż krzyk małych siostrzyczek zbudził ją z rozkosznych snów na jawie, w których była pogrążona. Wieczerza kipiała, Józia powstała spiesznie, i z rodzajem gniewu zajęła się codzienną czynnością, nie wchodzącą wcale w zakres jej marzeń. Pliszka był ponury, rozgniewało go postępowanie córki z Andrzejem. W myśli uważał go za przyszłego zięcia, ale przywykły do pewnej niepodległości istot, które same za siebie odpowiadają w życiu, nie chciał brać na siebie jej wyboru, a potem był to może tylko prosty kaprys dziewczyny, nie przesądzający wcale sprawy przyszłości. Wkrótce potem cała rodzina pogrążyła się we śnie, Józia tylko pod pozorem pilnej roboty czuwała sama, lubiła tę godzinę w której myślom swoim mogła puścić wodze swobodnie, igła spoczywała w jej palcach nieruchoma. W oknie przeciwległem oddalonem tylko na szerokość dziedzińca, płonęła lampa i mogła dojrzeć na tle bielonych ścian, rysujący się profil Hieronima, schylonego jak zwykle nad książką. Józia miała doskonałe oczy, więc pomimo podwójnych okien nie uszedł jej żaden szczegół skromnego pokoju, ale nie zatrzymała na nim spojrzenia. Człowiek ten, była to zagadka, której wcale nie siliła się teraz rozwiązać, dawniej myślała iż jedynie dla niej odwiedzał ojca, wprawdzie przypuszczenia tego oprzeć nie mogła na żadnym fakcie, pomimo to Hieronim przez czas pewien, miał prawo obywatelstwa w jej marzeniach, był jedynym reprezentantem tego wyższego świata, do którego rwały ją wszystkie chorobliwie wyrobione popędy. Teraz naturalnie ustąpić musiał przed świetnem zjawiskiem Ignasia, przecież tak jeden jak drugi nie był dla niej realną istotą, tylko wcieleniem marzeń.

Z kolei z pokoju Hieronima, wzrok dziewczyny przeniósł się na oświetlone okna apartamentu pierwszego piętra, gdzie mieszkali Kalińscy i tutaj utonęła myślą. Jakże serdecznie zazdrościła tym wszystkim, co mieli prawo przechadzać się w tych miejscach, które zdawały jej się zaczarowaną krainą. Po za płonącemi oknami migały cienie ludzkie; kto tam był, kto tam chodził? Stała tak zapatrzona, aż jedne po drugich światła pogasły: wówczas westchnęła i obejrzała się smutnie po ubogiej izdebce. Rzeczywistość chwytała ją znowu w swe zimne objęcie, ukazywała dolę, na którą była skazaną, a dola ta wydała jej się coraz bardziej twardą, niesprawiedliwą, okrutną nawet. Świeca dopalała się w cynowym lichtarzu, a robota leżała zaledwie zaczęta na stole, straciła cały wieczór napróżno. Bo też czemu otaczały ją ponętne świata zbytki, nasuwając do myśli tysiączne obrazy, które dawniej przelotnie tylko w niej gościły? Czemu ona mieszkająca tutaj nie miała nic z tego wszystkiego co posiadali inni? Czemu? to wieczne pytanie nie dawało jej zmrużyć oczów, a gdy zasnęła mąciło sny jej dotąd spokojne.

Hieronim pomimo troski o los własny i zmiany położenia, nie zapomniał o smutnej scenie, której był świadkiem u Kalińskich. Dziwny stan Arnolda, był mu problematem, który dręczył go nieustannie. Stefanija napomknęła mu o kłopotach finansowych, bo w nich upatrywała jedyną możliwą przyczynę rozpaczy męża. Dotąd nie zastanowił się nigdy, nad majątkiem tej rodziny, nad nagłym wzrostem jego, teraz fakta te interesowały go tak bardzo iż począł je śledzić. Rzecz ta nie była trudną. Warszawa nie jest tak wielkiem miastem by w niem pojedyncze indywidua ginąć mogły, a zresztą znał on dobrze stosunki człowieka, który zajmował go z tylu względów.

Wiadomości jakie zasięgnął były jednozgodne, niewątpliwe, a jednak w dziwnej sprzeczności z rzeczywistością. Kaliński niegdyś ożeniwszy się probował z rozmaitem szczęściem spekulacyi i obrotów pieniężnych, aż lat temu kilka znalazł się bliskim ruiny. Jakim sposobem jej uniknął i wydźwignął się znowu z majątkowego upadku, to stanowiło zagadkę dla szczupłej liczby osób wtajemniczonych w te szczegóły.

Fakta te były straszne dla Hieronima, zdawały się oskarżać człowieka, którego życie całe stawiało po nad podejrzenia. A jednak ten smutek jego..... czy skarb Pliszki nie obciążał mu sumienia? Stefanija nie przypuszczała pewno jakiego rodzaju była tajemnica męża, on sam nie mógł temu uwierzyć.

Gdy w kilka dni potem przyszedł na zwykłą lekcyę do Kalińskich, wiadomość o jego dymissyi poprzedziła go już tam i zaniepokoiła całą rodzinę Ignaś był zafrasowany, Helenka miała czerwone oczy a pan Arnold przemyśliwał nad sposobami przyjścia mu w pomoc skutecznie, i po lekcyi zbliżył się do stolika przy którym nauczyciel siedział z jego synem.

— Panie Hieronimie, wyrzekł, dla czego nic nam nie mówisz o zmianie zaszłej w twojem położeniu?

Tej zmiany spodziewałem się od dawna i zawc zasu obmyśliłem co mi czynić wypada, odparł kryjąc głęboko wrażenia swoje.

— Więc masz pan już zamiary, pochwycił Kaliński, spodziewam się, iż w razie gdyby potrzebną ci była pomoc jaka, udasz się wprost do mnie.

— Dziękuję, odparł młody człowiek ściskając z uczuciem rękę pana Arnolda, i zapominając podejrzeń swoich, ale na teraz w zawodzie jaki obrałem, na siebie jednego rachować mogę.

— Więc cóż pan zamierzasz?

— Zamierzam uczyć się rzemiosła.

— Rzemiosła! powtórzył Kaliński z prawdziwem zdziwieniem.

— Czy nie zostaniesz pan cieślą, wtrącił Ignaś z przyciskiem.

— Dla czegóż cieślą? spytał nauczyciel, nie domyślając się wcale ukrytego tych słów znaczenia. Na to potrzeba fizycznej siły, której nie posiadam. Odpowiedź ta, była tak naturalną, wyraźnie tak mało poczuwał się do podejrzeń Ignasia, że chłopiec zaczerwienił się mimowolnie.

— Sądziłem..... i nagle Ignaś ucichł.

— Cóż sądziłeś? spytał Hieronim, spoglądając na niego jasnemi oczyma.

— Nic, nic głupstwo jak zawsze.

To naiwne przyznanie się do winy, wywołało uśmiech ojca i nauczyciela, jednak uśmiech Arnolda był przymuszony, a Ignaś zawstydzony wysunął się z pokoju.

— Dla czegóż spytał po chwili milczenia Kaliński, chcesz obrać ten zawód? Czyż inteligencya i nauka nie dają ci prawa do innej przyszłości?

Hieronim zamyślił się chwilę.

— Dla tego, odparł podnosząc czoło, że chciałbym zapewnić sobie *przyszłość niezależną od łaski ludzkiej*. Nie kształciłem się specyalnie na nauczyciela, uczyłem się sam luźnie, i z ciekawości tylko nabyłem może trochę wiedzy, ale brak mi do niej systematu. Zresztą obuwia i ubrania potrzebuje

każdy bez wyjątku, nauka u nas uważaną jest w wielu razach za zbytek.

Mówił to ze zwykłą prostotą, pan Arnold jednak domyślił się czegoś więcej po za tem pospolitem rozumowaniem.

— Masz jeszcze jakieś inne przyczyny, panie Hieronimie, wyrzekł patrząc w oczy jego, te które dajesz nie starczyłyby żeby cię rzucić w to nowe życie, tak mało odpowiednie twojem zdolnościom.

— To prawda, zdaję mi się iż właściwie miejsce człowieka jest tam, gdzie najwięcej użytecznym być może. Pan nie wiesz ile tam jest ciemnoty, przesądów, fałszywych pojęć, jakie straszne fale podnoszą się tam z dołu, jakie namiętności wrą i kipią grożąc w cichości wszystkiemu co stoi na wyżynie. My mamy spokój nieświadomości, a tam ludzie cierpią i w szaleństwie bólu, oskarżają nas o boleści swoje. Ciemnota rodzi niesprawiedliwości, a jednak ją tam dzielne serca, szlachetne uczucia i uczciwe chęci, trzeba je skierować i oświecić, ale wprzód trzeba zdobyć sobie zaufanie tych pokrzywdzonych od losu, trzeba stanąć pomiędzy nimi, w ich szeregach, zrozumieć ich potrzeby, odcierpieć ich cierpienia i poznać radości.

Hieronim mówił to stłumionym głosem, jasne oczy jego pałały, a na czole była potęga przekonania. Arnold spoglądał na niego z dziwną mięszaniną czci i żalu, stał on na takiej wysokości iż mógł go ocenić, a jednak smutne doświadczenie życia szeptało mu owe tysiące utartych frazesów, któremi ludzie słabej woli, umieją zaspokoić drażliwe sumienie, i zasłonić sobie oczy na wielkie obowiązki społeczne, ciężące na każdym co je pojąć zdoła. Zresztą może i co więcej jeszcze odzywało się w jego duchu, bo chmura smutku wisząca mu na czole, wyryła się na niem wyraźnemi bruzdami.

— Panie Hieronimie, wyrzekł zwolna, znam cię nie od dzisiaj, wiem że masz szlachetne dążności, zastanów się jednak, czy nie przedsiebierzesz nad siły.

— Dla czegoż prosty obowiązek życia, odparł młody człowiek, miałby być nad siły moje. Ja nie spełniam żadnego poświęcenia, jestem w położeniu w którem muszę pracować na chleb powszedni, i staram się wybrać pracę, najużyteczniejszą dla ogółu, oto wszystko.

Kaliński wstrząsnął głową, ale nie śmiał widać puszczać się w rozumowania: one dotykały go boleśnie, budziły może wspomnienia o których pragnął zapomnieć, Hieronim jednak mówił dalej.

— Wiesz pan zresztą, że ja zawsze miałem pociąg do wydziedziczonych tego świata. Studya moje, nauki, skierowane były głównie do tego celu: śledziłem rozwój społeczeństw, wartość pracy i jej zapłatę, obowiązki jednostki względem ogółu, i ogółu względem jednostki, i wyrobiłem sobie teorye, które pilno mi w czyn wprowadzić. Ja nie pasuje do towarzystwa do którego z położenia swego należę, miejsce moje tutaj nie jest.

W tych słowach była moc przekonania, znać było, że ten człowiek opanowany ideą jedną, służyć jej musi, choć popycha go na tory trudne i nieznane.

Pan Arnold umilkł, może miał jeszcze coś do powiedzenia, gdy drzwi otwarły się gwałtownie, i do pokoju weszła Helenka. Była wzburzona, policzki jej pałały, może z przyległego pokoju usłyszała całą rozmowę, bo stanęła przy ojcu i wpatrywała się chwilkę w piękną twarz Hieronima, jaśniejącą blaskiem niezmąconych przekonań. Młody człowiek zadrżał, w blasku jej spojrzenia roztoczyła się przed nim najsilniejsza pokusa życia, przecież potrafił skłonić jej się lekko jak zwykle i niby nie zważając na jej obecność zdawał się oczekiwać odpowiedzi Kalińskiego, który podniósł wzrok na córkę a od niej przeniósł go na Hieronima, i to co dostrzegł tu i tam nie zadowolniło go widać, bo twarz jego chmurniała coraz bardziej.

— Nie będę pana odwodził, wyrzekł po długim namyśle, od postanowienia do którego popycha cię zapał młodzieńczy. Może kiedyś uznasz słuszność rad moich, może pożałujesz tego co czynisz, może wówczas będzie za późno, w każdym razie człowiek spełniać powinien to, co uważa za swój obowiązek....

Te ostatnie słowa wyrzekł z wysileniem widocznem jakby trudno mu było sformułować tę prostą prawdę, usta jego drgały, a zmącone oczy spuściły się ku ziemi.

Hieronim wysłuchał go uważnie, jakaś myśl nowa błysnęła mu w głowie i przywiodła mu na pamięć wczorajsze słowa Pliszki.

— Nie wątpiłem, odparł z przyciskiem, że pan mi to powiesz, wiedziałem że to możesz powiedzieć.

Kaliński zachwiał się, jak człowiek ugodzony w serce niewidzialnym pociskiem. Nie wyrzekł nic ale pobladłe czoło pokryło się kroplami zimnego potu, patrzał dalej na to co działo się w koło niego nieprzytomnie prawie. Znowu huragan zahuczał w jego duchu; znowu zbudziły się szalone troski czy wspomnienia, których nic odegnać nie mogło, stał się pastwą tajemniczego demona co władał nim coraz częściej, coraz silniej.

W obec niego Hieronim i Helenka znaleźli się jakby sami: była to ciężka próba. Ona odepchnięta tyle razy probowała jeszcze władzy swojej, może pomimo woli i wiedzy Hieronima, oczy jego mówiły co innego niż usta, bo ona korzystając z ciszy panującej zawołała.

— Czy to być może, byś pan chciał zostać rzemieślnikiem?

— Tak jest panno Heleno, odparł zwracając się do niej.

Dziewczyna załamała ręce.

— I dla czegoż to? spytała z rodzajem rozpaczy...

— Skoro słyszałaś pani postanowienie moje, musiałaś słyszeć i odpowiedź, jaką ojcu twemu uczyniłem...

— Słyszałam, ale to być nie może, ja temu nie wierzę, zdaje mi się iż żartujesz z nas wszystkich.

— Nieśmiałbym nigdy tego uczynić.

Helenka potoczyła wzrokiem w koło, jakby szukając wyrazów któremiby zwalczyć mogła ten upór, aż wreszcie musiała znaleźć coś, co w jej przekonaniu było bez odpowiedzi, bo zawołała.

— Ależ pan nie uważałeś chyba, że wszyscy rzemieślnicy są nieokrzesani, brudni, grubijanie.

— Pod tym względem będę się starał być wyjątkiem, odparł Hieronim ze smutnym uśmiechem.

Jednak to zapewnienie nie uspokoiło ją wcale, na usta cisnęły jej się różne słowa niewymawiane, wzrok chodził od ojca do Hieronima, jakby tu i tam szukała dla siebie pomocy i nie znajdowała jej nigdzie.

Kaliński zdawał się nie słyszeć tego co działo się w około, młody człowiek czuwał nad spojrzeniami swemi i głosem tak bardzo, że pociski Helenki odbijały się od niego jak od skały.

— I jakże to będzie? zawołała wreszcie ze łzami w oczach.

Hieronim popatrzył na nią chwilę, a serce kruszyło mu się w piersi. Kochał to piękne dziecię z jej lekkomyślnością, wadami i grzechami, całą miłością ognistego ducha, przecież musiał zdobyć się na uśmiech, który zarysował się gwałtem woli na jego pobladłych ustach i odparł zwolna.

— Nic nie będzie panno Heleno, tu rozchodzą się drogi nasze, może kiedy jeszcze zbliży nas przypadek; ty wówczas będziesz zapewne wielką panią, a ja rzemieślnikiem i może z czarnemi od pracy rękoma. Wówczas kto wie czy mnie poznasz.

— O nie, nie, tak nie będzie, tak być nie może! zaprzeczyła dziewczyna. A łzy spłynęły po jej twarzy zrumienionej. Było to więcej niż on mógł przenieść. Ale ten objaw nadzwyczajnego żalu, zbudził z zamyślenia Pana Arnolda, spojrzał z rodzajem zdziwienia na córkę.

— Helenko! wyrzekł z niezwykłą stanowczością, co to ma znaczyć? Czemu mięszasz się do rzeczy, które do ciebie nie należą?

Ona stanęła cała w płomieniach, starając się wstrzymać płacz gwałtowny.

Hieronim korzystał z tej przerwy w trudnej rozmowie, jaką z nią prowadził, pożegnał się śpiesznie i wyszedł. Spotykała go jedna więcej boleść, na którą nie liczył, bo na chwilę nawet nie przyszło mu na myśl, iż gdyby chciał mógłby ją zaślubić. Ale cóż on mógł przynieść jej w życiu, w zamian żądać od niej? Pojęcia ich i nawyknienia były tak różne, mógł że brać kaprys pięknej dziewczyny za miłość, mógł że na nim budować przyszłość, lub przyjąć jej świat i krążyć wiecznie z nią razem w tem wirze uciech i zbytku bez których nie pojmowała życia, a czyż był w prawie wymagać od niej ofiary wszystkiego do czego przywykła co kochała. To było niepodobieństwem, czuł to pomimo jej i swojej boleści.

Po odejściu jego, dziewczyna zakryła twarz rękoma: ojciec patrzał na nią smutnie.

Helenko, wyrzekł po długiej chwili, po co tu przyszłaś.

— Mój ojcze, zawołała, przebacz mi.

— Ja nie mam ci nic do przebaczenia, rozumiesz sama iż postąpiłaś nierozważnie.

— Moj ojcze ja sądziłam.. miałam nadzieję.....

—Jaką Helenko? zapytał surowo. Czy pan Hieronim dał ci kiedy powód jaki w mieszania się do jego losów? Czy zwracał na ciebie uwagę, czy dostrzegłaś co bądź w jego oczach lub mowie, coby upoważniało cię do tego?

I w myśli jego powróciło opowiadanie Ignasia, i gotów był posądzić ulubionego nauczyciela, o rozmyślne zajęcie serca Helenki.

Ale ona odparła ze smutną prostotą.

— Nigdy mój ojcze, pan Hieronim nawet nieuważał na mnie, a kiedy przemawiał, czynił to jak do dziecka.

— Bo też jesteś dzieckiem, to jedno usprawiedliwić cię może.

Te ostatnie słowa wyrzekł z widoczną trudnością i wysileniem, potrafił tylko powrócić do realnego świata, by dopełnić ojcowskiego obowiązku, teraz stawał się znowu pastwą tajemniczych cierpień.

—Ojcze, szepnęła dziewczyna, obejmując jego rękę i przyciskając ją do ust

Ona mówiła tak cicho iż zaledwie mógł ją dosłyszeć...

— Powiedz mi, dla czego on mnie nie kocha?

(d. c. n.)

Korespondencja z Ameryki.

(Dokończenie.)

Gdybyś był panie Redaktorze żądał w ojczyznie naszéj korespondencyi do Tygodnika, byłbym nawet nie pomyślał o honoraryum jakieście mi za nią ofiarowali. Ale tu w Stanach Zjednoczonych rzecz inna. Tu kto żyje każdy pracuje, czy kobieta czy mężczyzna, czy dziecko, czy starzec, czy wreszcie bogaty choć nie musi, czy ubogi, który także musi bo nie chce zostać żebrakiem. Gdzie się obrócić, każdy zajęty, każdy szuka pracy lub przemyśliwa nad jéj zdobyciem, wszędzie przebija się w praktyce owo znane przysłowie angielskie: czas to pieniądz. Pracujemy więc i my, żona, dzieci, a nawet ja najleniwszy z Litwinów, który niegdyś do zawiązania serwety pod brodę używał obcéj ręki, jakbym swojéj dźwignąć nie potrafił.

Czy uwierzycie, że podczas wakacyi mój syn starszy Tadzio lat dwanaście wieku mający, zarabiał po trzy dolary na tydzień w redakcyi gazety Messager Franco Americain, przy któréj jestem stałym współpracownikiem, będąc tam na posyłkach najzwyczajniejszych i posługując przy składaniu numerów, wychodzących z pod prasy. Gdzieżby to u nas w kraju który ojciec tytułowany panem wielmożnym, chciał syna swego do podobnéj czynności przeznaczyć! A wstyd, a hańba, niech zbija lepiéj bąki, niech się nudzi w bezczynności, niech tłucze guzy i wymyśla różne niestworzone figle, a pracować za pieniądze, fe! któż słyszał o czemś podobnem.

W Ameryce inaczéj; kto ma czas zaraz myśli o pracy, a przez nią o zarobku, i nikt się temu nie dziwi, jeżeli któryś ze znajomych spotka syna mego z paczką gazet pod ręką biegnącego cwałem ulicą. A nawet przeciwnie zdziwiłby się, gdyby przeniósł próżniactwo. To też poszanowanie pracy zdaje się płynąć we krwi amerykańskiéj; dziecię wdrożone do niéj od małego pośubia ją raz na zawsze, tak się przyzwyczaja, że choćby chciało już ją porzucić nigdy nie potrafi. Cuda bo też ona tutaj wyprawia; nie podzielona na żadne arystokratyczne działy, garnie wszystkich do siebie jak się zdarzy, jaka znajdzie się pierwsza pod ręką. Gdy lepsza się nastręczy, pierwsza idzie w zapomnienie, za nią następnie druga, trzecia, aż wreszcie przypadek, okoliczności lub własne pojęcie nasuwa taką, która pod każdym względem odpowiada usposobieniu biorącego się do niéj pracownika.

Ot naprzykład jenerał Grant: przed dziesięciu laty kręcił się po Saint-Louis nie wiedząc co ma z sobą począć.

Traf zagnał go do garbarstwa czyli wyprawy skór ale nie ludzkich, i patrzcie co się to z nim stało.

Po pierwsze: był głównym dowodzcą zwycięzkiéj armii Północy.

Powtóre: przez lat cztery był prezydentem całych Stanów Zjednoczonych i jest prawie pewność, że pozostanie nim na drugie lat cztery.

Po trzecie: mieszka w Waszyngtonie w pałacu zwanym Domem białym, gdy w młodych latach sypiał pod strychem, a kwas garbarski wyziewał z niego trujące powietrze na sto łokci w około.

Po czwarte: synek jego Fryderyk, nie powiem prezydentowicz, jakby to u nas nazwano, gdyż w Ameryce ani tytuły, ani godności i zaszczyty z ojców nie przechodzą na synów, a nawet mienie rodzicielskie może być komu innemu nie dzieciom testamentem przekazane: — otóż ten synek Fryderyk jeździ sobie po Europie przyjmowany jakby udzielny książe, gdy ojciec jego w tym wieku, dobrze na bosaka wydeptywał skóry, lub przenosił je przygarbiony z dołu do dołu.

Po piąte: wreszcie i najważniejsze, córka miss Nellie, niedawno w Londynie na pokojach królowéj Wiktoryi tańcowała z księciem Arturem, który jak doniosła wieść wiarogodna, mocno ją ściskał za rączkę. W Wersalu miss Nellie widziano na pokojach i w loży Rzeczypospolitéj...... chcę mówić na pokojach i w loży pani Thiers prezydentowéj Rzeczypospolitéj francuzkiéj, która jako jeszcze zbyt młoda, do tytułów i ich spadkobierstwa wielkie przywiązuje znaczenie. Pannę więc Grant widziano w loży pani prezydentowéj, wszystkie oczy kierowały się ku niéj, wszystkie usta o niéj tylko rozmawiały, a każdy powtarzał z pewną zazdrością, że córka garbarza jeszcze dziś wyglądającego strasznie po garbarsku, wychodzi za mąż za bardzo bogatego młodzieńca Wikonta Duvergier de Hauraune.

Wszystko to przyznacie, że może zawrócić głowę każdemu, byle nie Amerykaninowi. Prezydent też Grant został takim jakim był zawsze, prosty, niezgrabny, szczery, choć szorstki, najlepiéj lubiący sam sobie wszystko robić i niczem ani strojem, ani służbą, ani kuchnią lub piwnicą, nie zdradzającym wysokie w kraju stanowisko. Niektórzy nazywają go ulubieńcem fortuny, fałsz największy! Wszystko czem był i jest winien własnéj zasłudze, niezmordowanéj pracy i téj iskierce Bożéj, którą nauka podnosi nad świat i oddaje go w jéj władanie.

Widzicie więc jak wkrótce stałem się zapalonym Amerykaninem, skoro z takim zapałem przemawiam za przewodnikiem społeczności, z którą zlać się pragnę jak najprędzéj. Ale to nie dosyć, Mars laurami ozdobił czoło Granta jako zwycięzcy Południa, zaufanie całego narodu uczciło go najwyższym urzędem, trzeba jeszcze było aby Wenus uplotła mu wieniec różany, i stało się to wczoraj w mojéj własnéj obecności w Corpor Institute, w pośród licznego zgromadzenia kobiet.

Potrójna z nich gierlanda młodych, pięknych, a zawsze wielce zajmujących, ozdobiła estradę na któréj od niepamiętnych czasów widywano tylko głowy łyse lub siwe i oblicza cytrynowo pargaminowe. Zamiast zaś świetnych mów, nastrzępionych cytacyami jeszcze nudniejszych autorów, co to żadnego w życiu romansu, żadnéj poezyi nie napisali, słyszeliśmy miluchne świergotanie ustek różowych, do czego innego stworzonych, nie zaś do utarczek politycznych na republikańskiem Forum.

W rzeczy saméj było to miluchne szczebiotanie polityczno sentymentalne: damy chciały dorzucić słówko do kłótni wyborczéj, dzielącéj w téj chwili mężczyzn w St. Zjedn. na dwa przeciwne obozy, i dorzuciły pewne zwycięztwa.

Na ten raz użyły te panie wszelkich ostrożności, aby im nikt nie przerywał tak dalece, że nawet część ludzkości brodata i wąsata, z nielicznemi wyjątkami, była wyłączoną z *mitingu*, i same tylko damy miały prawo wejścia.

Powiedziałem już wyżéj, ale i tu niezaszkodzi powtórzyć, że przez protekcyę dwóch amerykanek i po solennem zaklęciu się, że nie będę przeszkadzał nawet oklaskami, udało mi się tam dostać, oto co widziałem:

Nad estradą w medalionach błękitno-lazurowych, ozdobionych festonami świeżych kwiatów, — jaśniały nazwiska bohaterek, które już zostały passowane na rycerzy, na polach walki za prawa i przywileje kobiet wszech-świata!

Nazwiska te były: Elżbieta... nie... to lepiéj brzmi po angielsku: więc lady Elisabeth, lady Stanton, — waleczny dowódzca falangi bojującéj; Isabeth Beecher Hooker, siostra znakomitego kaznodziei z Plimouthchurch; miss czy mistres Lilly Devereau Blake, najpiękniejsza ze wszystkich; wielebna Olympia Brown; (*) Mathilda Jocelyn Gaye i nareszcie wielce szanowny patryarcha całego tego zebrania mistress B. Antony.

Głównem zadaniem mitingu było, upomnienie się „o prawa kobiet", a w dalszym dopiero ciągu uwielbienie Granta, który uważany jest przez te damy za „brata", gdy Greeley, według wyrażenia mistress Antony ma „serce kamienne, niedostępne do żadnych szlachetnych wzruszeń". Do tego *tematu* wszystkie oratorki dobierały słów odpowiednich, a jeżeli mędrzec z Czupaka nie upadnie pod brzemieniem przekleństw, które na tym wiekopomnym mitingu, niby grad bębniły po jego tradycyjno—pogiętym kapeluszu, chyba istotnie ma żelazne serce.

Najpiękniejsza mowa za Grantem, jaką zdarzyło mi się słyszeć na mitingach amerykańskich, wyszła *doprawdy* z różanych ustek, młodéj panny Lilly Devereux Blake, i nie tylko na Amerykanach, ale i na mnie uczyniła wielkie wrażenie. Korzę się i proszę o przebaczenie piękną pannę Lilly, jeśli te parę ustępów, które zamyślam przełożyć, pod mojem nieudolnem piórem wiele utracą ze swojéj świeżości i wdzięku.

„Przeciwnicy nasi—mówiła, nie lubią Granta. Dla czego? Oto mówią, że on przyjmuje podarki. O ile wiem istotnie przyjął on 4-go marca 1869 r. bardzo piękny podarek od ludu amerykańskiego, był to Dom Biały w Waszyngtonie. Zdziwi mię niesłychanie, jeśli tenże sam podarek nie będzie mu ofiarowany, z tychże samych rąk, po raz drugi 5 listopada bieżącego roku. Lecz ktokolwiek utrzymuje, że prezydent przyjął podarunek mający jakąkolwiek wartość od czasu jak został wyniesiony na najwyższy urząd w naszéj ojczyznie, ten powiada fałsz, myli się lub bezczelnie kłamie!"

Ach! jakże była piękna, jakże była zachwycającą z tą swoją nadąsaną minką! Zerwała z lewéj rączki rękawiczkę i zamierzyła się jakby ją chciała rzucić. Wszystkie męzkie łapy podniosły się dla pochwycenia, a ja o małom nie zeskoczył na dół z galeryi...

Niestety, nie rzuciła!

„A jednak mówiła, przechodząc z tonu gniewnego w rzewny, jenerał Grant, będąc już w Białym Domu, nie mógł odrzucić jednego wielkiéj *moralnej* wartości podarku. Poczciwa jakaś staruszka z Ohiv zrobiła mu parę wełnianych skarpetek i posłała z następnym listem: „Miałam trzech synów i tobie ich powierzyłam, a ty mi żadnego nie zwróciłeś, wszyscy trzéj polegli walcząc za kraj swój. Lecz ty mi uratowałeś ojczyznę! Zrobiłam ci na *drutach* parę skarpetek wełnianych, przyjm je i noś niekiedy".

Czy znajdą się na świecie demokraci lub radykaliści, którzyby poradzili Grantowi odesłać osieroconéj matce tę parę skarpetek?

1) Wielebną Olimpię Brown, miałem zaszczyt poznać w Baltimorze w roku zeszłym, w klasztorze Karmelitek, gdzie znajduje się na prawdę wielebna Aleksandra Rodkiewiczowa z Wilna, także nasza znajoma i przyjaciołka. Na początku przeszłego karnawału wielebna Olimpija opuściła klasztor, miewała i miewa odczyty, między innemi jeden o Barbarze Ubryk.

„Powiadają inni, i mają mu to za złe, że Grant namiętnie lubi konie. Przyznaję z pokorą szanowne panie i panowie, że gdyby Bóg skarał mię stwarzając mężczyzną, ja sama ze wszelkich stworzeń najbardziéj lubiłabym konie...."

Sykanie ze strony dam, oklaski od mężczyzn; ja sam zapomniawszy się mimowolnie klasnąłem.

„Nie dacie mi dokończyć: najbardziéj lubiłabym konie.... po kobietach."

Oklaski kobiet, grobowe milczenie mężczyzn, a ja oprzytomniawszy, przypomniałem, że dałem słowo wielebnéj Olympji Brown, milczeć jak ryba.

„Z resztą jest to upodobanie, którego żaden mieszkaniec Unji amerykańskiéj, Grantowi na serjo za złe brać nie może. A ja poczytuję mu za zaletę, że kocha.. chcę mówić, że lubi piękne konie. Pochwalam każdego z ludzi, który kocha wszystko co jest pięknem w przyrodzeniu: każda piękna rzecz, piękna myśl powinna być przedmiotem ciągłéj rozkoszy dla ludzi. Nasze serca codziennie zasyłają gorące modły do Ojca w niebiesiech za cudne i wspaniałe widoki, które oglądamy na ziemi. Co do mnie, lubię bardzo patrzeć na piękne drzewo, piękny kwiat, piękne dziecię, nareszcie, po cóż się taić, na pięknego mężczyznę, a *nawet* piękną kobietę (potakiwanie powszechne).

Nie dawno jeden z niegodziwych dzienników ogłosił, że Grant jest obrzydliwe pijaczysko, i tak nałogowy, że się wstrzymać od picia nie może; że bywają tygodnie w których zajmować się nie jest w stanie sprawami publicznemi: że za beczkę wina gotów się zaprzedać z duszą i z ciałem.

Szkaradna to potwarz i wiem od ludzi znających bliżéj Prezydenta, że nigdy go nie widzieli pijanym. Potwarz ta była już raz nań rzucona w czasie wojny z Południem. Wiecie jak się wówczas znalazł nieodżałowany Lincoln?

— Wiemy, wiemy, odezwano się ze stron różnych, ale powtórzenie niezaszkodzi.

— Oto, mówiła daléj piękna mówczyni, kiedy mu doniesiono o zwycięztwie pod Pitsburgiem i dodano, że wódz zwycięzkiéj armii Grant był tak pijany, że nie wiedział o Bożym świecie, cóż Lincoln na to odpowiedział? Oto rzekł: dowiedźcie się dokładnie jakim trunkiem on się upija, to przed każdą bitwą po kilka beczek będę mu go przesyłać.

— Tak, tak, zawołano, to była rozumna odpowiedź. Daj nam Boże jak najwięcéj podobnych pijaków.

Mowa pięknej panny trwała godzinę bez dwóch minut, i pozyskała zasłużone oklaski. Słyszałem, że już dziś otrzymała kilka pokornych próśb o swą rączkę, ale dumna Amerykanka odpowiedziała, „że nie chce zdobywać sobie męża wymową, ale sercem."

Potem weszła na porządek kwestya *praw kobiet*. Oratorki były bardzo wymowne, dowody i argumenta były logiczne i przekonywające, ale mnie i wielu innym żal się zrobiło widzieć tyle wdzięku, tyle dowcipu marnowanego dla tak lichéj sprawy. Bo nareszcie, czego chcą te nieboraczki? Chyba powięcić swój urok, spokój i tak miłe władztwo, dla wprzężenia się w pańszczyzniane obowiązki mężczyzn! Czyż myślą, że to jest rzecz tak bardzo pożądana poświęcać czas, pracę, obowiązki macierzyńskie, dla podzielenia z mężczyznami kłopotów, w tak wstrętnem zajęciu jakiem jest polityka? Nazywają to przywilejem,—a dla nas jest to prosto pańszczyzną; nazywają to prawem,—a rozważywszy szczerze, jest to tylko obowiązek. I one nam tego zazdroszczą! One;—te przynajmniéj, które posiadają właściwości płci swojéj, które potrzebują tylko być i zostać kobietami, aby zapanować nad najdzikszymi nawet władzcami świata!

Nie darmo to powiedział ksiądz biskup Warmijski:
Mimo całéj płci naszéj zalety,
My rządzim światem a nami kobiety.

Największy jednak *aplauz* tak się wyrażali modnisie warszawscy z XVIII wieku, otrzymała panna Lilly Devereaux Blake, kończąc pochwalną dla Granta mowę. Pragnąc bowiem upożytecznić na korzyść swego klijenta, nawet zawziętość przeciwników nie wahała się powiedzieć: „Przechodząc przez ogród fruktowy, łatwo się przekonać, które drzewo najlepsze rodzi owoce, po ilości kamieni co nań zostały rzucone."

Nieszczególna to pochwała dla człowieka co przewodniczy wielkiemu narodowi. Jankesy jednak przyjęli to za dobrą monetę, a nawet za dowcipną *nowość*, klaskali też i krzyczeli brawo, bez końca i miary. Ja tylko siedząc na galeryi niby malowany, przypomniałem sobie, że dwa czy trzy tysiące lat temu jakiś mędrzec grecki czy inny, przyswoiwszy sobie dowcipne porównanie miss Lilly, wyraził to jakoś jaśniéj mówiąc, „że najsmaczniejszy i najdojrzalszy owoc, zwykle bywa podziobany od ptaków."

Przed północą rozszedł się miting płci pięknéj, naszpikowanéj zlekka płcią brzydką, a kiedym towarzyszce méj podawał rękę i dopełniłem tego bardzo nieznacznie, zawołała: Ach! jaki z ciebie nieznośny, maruda!

Czy i wasze jest takie zdanie łaskawe moje czytelniczki?

Jeżeli twierdząco na pytanie to odpowiecie, to przepraszam Was, poprawię się jakiem Amerykanin..... nie! jakem Wasz ziomek do ostatniego tchnienia mego życia, A jest nas tu gronko nie małe, sześćdziesiąt tysięcy głów wynoszące i że coś znaczy najlepiéj to dowodzi, że przed kilku dniami partya Granta kazała wydrukować pięć tysięcy egzemplarzy broszurki po polsku zapisanéj przeciw kandydaturze Greeleya, dla rozesłania jéj polskim wyborcom. Moi synkowie w niedzielę kopertowali ją do przesyłki pocztą, i za jeden dzień pracy zarobili po półtora dolara. Jest tu także w Nowym Yorku i San Francisco stu kilkudziesięciu Rossyan, dla których niejaki pan Bibików, chce założyć kantor dla ułatwienia prenumeraty na pisma peryodyczne rossyjskie. Zdałoby się taki sam i dla pism polskich, co właśnie zamyślam uskutecznić. Z wychodzących w Warszawie, o ile wiem tylko Gazeta Polska i Kłosy mają po jednym prenumeratorze w Texas i Chicago: gazety Poznańskie, Krakowskie i Lwowskie, mają ich po kilkunastu nawet kilkudziesięciu, wprawdzie pisma wasze czysto polityczne, nie mogą tu mieć wielkiego powodzenia, ale inne illustrowane, wasz Tygodnik Mód, a szczególniéj Przyjaciel Dzieci, mógłby pomalu uzyskać setkę a nawet i więcéj prenumeratorów, gdyż rodzin prawdziwie intelligentnych można tu przynajmniéj na tysiące liczyć.

Powiedzcie o tem Redaktorze wszystkim wydawcom i przysyłajcie prospekta z ceną roczną i półroczną na Amerykę i kilkanaście próbnych numerów, a ja zajmę się upowszechnieniem, czem i Wam i naszym rodakom prawdziwą przyniosę przysługę. A teraz do widzenia już na prawdę, ocean niech was nie przestrasza, paka z książkami choćby największa, łatwiéj się przez niego dostanie jak u was paczka pocztą kołową o mil kilkadziesiąt. Tu tysiące mil nas dzieli, ale to fraszka, szust! i już na drugiéj pół-kuli ziemi. Stare to ale mądre przysłowie: djabeł nie tak straszny jak go malują, nie długo też przejażdżka do Ameryki tak się upowszechni jak do Paryża, lub Wiednia, tu u nas przynajmniéj nikt nowo przybyłego z Europy nie wita jak raroga, tylko się dziwi, że dopiero przyjechał a nie prędzej.

Juljan Horain.

United St. of America Hoboken N. J. 6. Newark Str.

Przegląd teatralny.

Lady Tartuffe, komedja w 5 aktach, Emilii (:?) de Girardin, z francuzkiego tłomaczona przez J. B. (1).

(wznowiona dnia 28 Listopada r. b.)

Sam tytuł sztuki oczywiście nasuwa źródło jej pomysłu, i wskazuje, że jak Tartuffe w Molierze, tak Wirginija de Blossac w utworze pani Girardin, mają maską świętobliwości zakrywać najbezecniejsze instynkta i zasady w obec towarzystwa, które dla widoków swych wyzyskują. Jest jednak różnica pomiędzy temi odpowiednikami: pomysł Moliera był pierwszym, oryginalnym; śmiałe i niespodziewane wykrycie sprzeczności między zasadą a pozorami, narobiło wrzawy, a dosadnie nakreślona postać bohatera, po wpatrzeniu się w nią, nigdy zejść z oczu nie może, i wiecznie stoi na myśli jak widmo fałszu. Wirginja jest już powtórzeniem; jawnem, a więc niezdrożnem, dowodzącem poszanowania dla wielkich wzorów, a miałoby ono więcej wartości, gdyby sobie chociaż środków wyszukało samodzielniejszych.

Tak jednak nie jest jak Tartuffe nad Orgonem, tak Wirginja zapanowywa nad Margrabią d'Estigny i wprowadza do rodziny jego intrygę i niepokój. Jak tamtego tak i tę wysłania zmysłowa namiętność i o upadek przyprawia. To już zbytek niewolniczości w naśladownictwie.

Zachodzi też różnica w społecznem znaczeniu obu utworów. Za czasów Moliera, przed przeszło dwoma wiekami, taki Tartuffe mógł być rzeczywiście groźnym. Jeszcze wtedy niełatwo kto przypuścić mógł, ażeby można było czynić sobie zabawę z rzeczy tak świętej jaką było uczucie religijne, pobożność: jeszcze wtedy społeczność nie odbyła pod tym względem dostatecznej edukacyi. Dzisiaj, w dziewiętnastym wieku, gdy słoneczny typ Moliera rozbił się na mnóstwo gwiazd i gwiazdek rozmaitej wielkości, gdy na tem polu ludzkość odbyła istną kampanję, formułki pietystyczne nie złudzą już nikogo, przestrogi pod tym względem zestarzały się wielce przez ustawiczne powtarzanie, i zakrawają nieco na wojnę z wiatrakami. Dzisiejszych Tartuffów szukać i ścigać trzeba na innem polu. Pobożnisie dziś wyglądają śmieszni tylko, a bynajmniej nie groźni.

Jednak Lady Tartuffe śmieszną wcale nie jest, nie taka jej intencya. Ona ma postanowienie być groźną, a może i jest taką, lecz skutkiem ducha intrygi, wyuzdanej zmysłowości; gdy formy świętoszkowe jakie przybiera w całej sztuce, naprawdę nie doprowadzają do niczego, nie olśniewają nikogo, jakbądź autorka usiłuje nadać im pewne znaczenie.

(*) Ten do kogo to należało powinienby wiedzieć, że zmarła autorka de Girardin, nie miała na imię *Emilija*, lecz że była panią *Emilową* de Girardin, czyli że po francuzku Madame Emile de Girardin, odpowiada polskiemu np Jakóbowej Sobieskiéj. Właściwe imię tej autorki było Delfina, z domu Gay.

Jest także różnica i w zarysach głównych przedstawicieli pomysłu. Tartuffe, to pierwotna prostota i wyrazistość, człowiek odlany z jednej sztuki, niewyszukanego materjału, ktoś co, według naszego przysłowia, modli się pod figurą a djabła ma za skórą. Wirginja, to charakter dziwnie poplątany i zagadkowy, poza rysami uwydatnionemi mający jakieś jeszcze rysy ukryte albo niewyraźne, z których w ogóle wychodzi wielka nikczemnica.

Powiada o sobie, że jest córką arystokraty i cyganki. A! zgoda. Szukajmy więc jej w tej konjunkturze, a wtedy nie będziemy się brzydzić nią, jak się brzydzimy Tartuffem, ale raczej zlitujemy się nad nią jako nad fatalistyczną ofiarą krwi i temperamentu. Cyganka czyni źle bez namysłu, bezpośrednio, jak wilk podniecany głodem. Cóż ona winna temu, że ją *duch* porywa przemocą ku takim czynom, które inni zowią, występkami? Cyganka nie jest obłudną. Ale czyż taką jest Wirginja? Jest taką, ale i jeszcze inną. Obok porywów naturalnych chodzi w fałsz u po uszy: i odgadnijże tu właściwy jej charakter.

Intryga sztuki zależy na tem, że Wirginja kocha bez jego wiedzy, Hektora de Renneville, który ma się ożenić z Joanną, wnuczką margrabiego d'Estigny a córką jego siostrzenicy Hrabiny de Clairmont. Wirginja tedy, idąc za popędem miłości czy namiętności, usiłuje niedopuścić do tego małżeństwa i zatrzymać Hektora przy sobie. Ale jednocześnie korzystając z wrażenia jakie uczyniła na starym Margrabi, chce zostać jego żoną. Dwoma temi korytami płynie cała intryga sztuki, naciągana, nienaturalna.

Wirginja jest kobietą dojrzałą: chociaż nigdy nie była zamężną, przybiera charakter wdowy, ażeby upozorować życie samodzielne. Bawi się w pobożność i dobroczynne praktyki, mające zasłonić zdrożności moralne: a tem wszystkiem, obok wdzięków fizycznych, zjednywa sobie Margrabiego i nawet młodą jego, szesnastoletnią wnuczkę. Hrabina, lubo przeczuwa w niej nic dobrego, żyje z nią jednak, zapewne dla dogodzenia życzeniom wuja; z czego korzystając Wirginja, wywiaduje się tajemnic domowych, i z powodu pewnego faktu nieporozumienia rzuca podejrzenie na dobrą sławę niewinnej Joanny, dla zerwania małżeństwa jej z Hektorem,

Jakim sposobem Wirginja zdoła pogodzić z sobą tak dwa niewspółmierne cele: to jest pójście zamąż za Margrabiego i zatrzymanie przy sobie Hektora, ani czego ona właściwie chce—jednego czy drugiego—niełatwo się domyśleć. Dość, że wieść puszczona przez nią, a przez jednego z pobożnych jej przyjaciół powtórzona, jakoby Joanna przed rokiem miała schadzkę z mężczyzną, dochodzi do uszu ojca Hektorowego, który wzbrania się przez to udzielić synowi pozwolenie małżeństwa. Wieść tę samą stara się utrwalić Wirginja w umyśle Margrabiego, który, idąc za jej natchnieniem, aż do wyświecenia rzeczy chce wnuczkę zamknąć w klasztorze. Zamiarowi temu sprzeciwia się matka, wyrzuca podłość jego autorce, Margrabia przyjmuje jej obronę, i ztąd następuje zerwanie rodzinne.

Odtąd samowładnie intrygantka panuje nad ogłupionym starcem, który dla niej ogłoćił się ze wszystkich uczuć. Ale przeciw niej zawiązuje się spisek w osobach Hrabiny i Hektora. Do nich przystępuje trzecia osoba, o której dotąd jeszcze nie wspominaliśmy.

Około Wirginii uwija się nieustannie niejaki p. Baron des Tourbieres, człowiek średniego wieku, łobuz który przez hulaszcze życie utracił majątek; cynik ale w gruncie uczciwy, rozumny a udający głupiego. Zna on doskonale swą przyjaciółkę, wie o wszystkich jéj poprzednich romansach, widzi obłudę jéj postępowania obecnego, pogardza nią a służy jej i trzyma się jéj jak pijany płota. Co go do tego powoduje? Oto pożyczka dwudziestu tysięcy franków, którą u niej zaciągnął, a której oddać nie może, i nadzieja że Wirginija zostawszy żoną Margrabiego, człowieka wpływowego u rządu, wyrobi mu zyskowną posadę.

Grzeszył dotąd Baron oddając towarzystwo na łup intrygantki, ale filozoficznie rozgrzeszał się tem że mu nic do tego, że każdy sam siebie pilnować powinien! Kiedy jednak Wirginija usnuła taką piekielną potwarz przeciw niewinnemu dziecku, natura Barona nie mogła pójść dalej. Żeby się wykupić z jej zależności, pożycza od Hektora dwadzieścia tysięcy franków dla spłacenia długu, i przechodzi do jego stronnictwa.

Cała sztuka, napisana w roku 1853, jak widzimy z dotychczasowego jej przebiegu, pod względem żywiołów i faktury, jest już przedwstępem do dzisiejszych sztuk Dumasowskich i Sardou; postać Barona jeszcze bardziej pokrewieństwo to uwydatnia. Jest to nibytajemnicza jakaś istota, duch zaradczy w złych razach, ukryty opiekun i. t. p. Tylko że jak w *Najserdeczniejszych* lub *Przyjacielu Kobiet*, duchy te stanowią główne sprężyny pogodzenia interesów, tak tu pomoc Barona jest prawie żadną, bo sprowadza się jedynie do przyniesienia z Blois, gdzie miała się odbywać mniemana schadzka Joanny,—książki meldunkowej z hotelu,dowodzącej że mniemany kochanek wnuczki Margrabiego—miał wtedy schadzkę z inną kobietą, z Wirginiją. Jeżeli stwierdzimy że ktoś upoił się wódką, to jeszcze nie dowód,żeby w czynniki jego upojenia nie mogło wchodzić i wino; książka meldunkowa nie byłaby dowodem, że młodzieniec ów, którego nazwiska niepamiętamy, nie mógł mieć naraz dwóch schadzek, czyż to nowina?... zwłaszcza że był dobrze znanym w domu Margrabiny.

Nie ubliżamy powadze książki meldunkowej, ale gdyby nie to że niewinność Joanny przedtem już w oczach matki i przyszłego męża okazała się z samego jéj opowiedzenia bardzo prostego faktu,—to pomimo powagi argumentu dostarczonego przez Barona,jeszcze niejeden nie wiedziałby co o tem trzymać zwłaszcza w obec stanowczych zeznań poczciwego ogrodnika, i tego mianowicie faktu, że o zdarzeniu tak prostem, jak uwolnienie znajomego młodzieńca który nocą dostał się do ogrodu matki, od natrętcwa rozłoszczonego psa, Joanna milczała przez rok cały. Podobno młodzieniec związał ją słowem, aby mu dochowała tajemnicy, znalezienie się swe o tak niezwykłej porze w cudzym ogrodzie tłómacząc jakimś wypadkiem politycznym!

Koniec końców, trzeba przecież raz wyjść z tych naciągań, wysłonić intrygę i intrygantkę,—a my nieco uprzedziliśmy fakta.

Molier, który miał głowę pełną twórczości zasad, nie wysilał się nad kunsztownością teatralnych środków. Ażeby zamiary Tartuffa odkryć przed Orgonem, sadza tego ostatniego poprostu pod stół okryty suknem, zkąd może się przypatrzyć postępowaniu świętoszka. Dzisiejsza orkiestra dramatyczna nie może się ograniczyć na takiéj prostocie środków, to też autorka to wysłonienie obłudnicy chciała wykonać uroczyściej, z wrzawą dramatyczną odpowiadającą finałowi najpatetyczniejszego aktu opery. Musi ona sprowadzić intrygantkę do kawalerskiego mieszkania Hektora, i urządzić je tak, ażeby całe towarzystwo było niewidomym świadkiem sceny jaka tam zajdzie. Obrzydzenie, doprawdy, bierze na myśl do jakich to pajęczych nitek autorowie bez natchnienia przyczepiają fakta stanowiące o losach ludzi, i wywołujące katastrofy. Hektor mieszka w hotelu, na szczęście w sąsiedztwie jego zamieszkała jakaś dama znajoma czy krewna Hrabiny: do niej się więc wszyscy schodzą na podsłuchy. Oczywiście, gdyby nie ten szczęśliwy wypadek, w coby się obróciły plany tryumfu nad Wirginją?

Mimo tych sztucznie ukartowanych środków, nie rozwiązanem zostało pytanie, poco Wirginija udaje się do mieszkania Hektora; *honny soit qui maly pense.*

Ale raz tam znajdując się już, dopiero z całą burzą cygańskiego temperamentu,wyznaje mu swą miłość, prosi go o małe choćby współczucie; występują tu jakieś niby lepsze skłonności jej natury, ale nadaremnie. Młodzieniec odpycha nędzną Putyfarę, oczywiście dla dwudziestu czterech przyczyn: — zaledwie przyrzeka jej litość,—hrabina wchodzi niby cień Banka....za nią Margrabia, w końcu Baron z książką meldunkową. Rehabilitacyja Joanny, potępienie Wirginii zupełne, zakończone morałem świeżo nawróconego grzesznika des Tourbieres.

Taką to postać postanowiła przedstawić pani Modrzejewska, a jest że to postać godna jéj repertuaru? Za taką musi ją uważać artystka, bo pani Modrzejewskiej nikt nie narzuca ról. My jesteśmy zgoła przeciwnego zdania. Wirginija jest w założeniu wstrętną, i takąby wyjść powinna ze sztuki: pani Modrzejewska, bądź co bądź, wstrętną uczynić jej nie zdołała. Wynika to już poczęści i z samego narysowania postaci, która niewyraźnemi swemi stronami wprowadza artystkę w pewien dualizm i nadaje możność obrzucenia bohaterki kilku promieniami poczciwego uczucia. Ona kocha Hektora, kocha bez nadziei, dusza jej cierpi; pochwyciła ten moment artystka ażeby byś wzniosłą, czułą i porwać za sobą słuchaczów w stronę sympatii. To fałsz! Wirginija w uczuciu swem, dla harmonii z całością charakteru, powinnaby się okazać tylko zmysłowo namiętną, i budzić niem wstręt równy temu jaki budzi wyrozumowaną obłudą. Gra artystki naszej w obu razach była doskonałą, żal namtylko było że stosowała się dorzeczy bardzo niedoskonałej, której odgrzebanie ani sztuce dla sztuki ani sztuce dla społeczeństwa żadnego pożytku nie przynosi. Wirginja, jak na komedję, zbyt jest poważną, żeby się można z niej śmiać; jak na tragedję, zbyt słabiuchną, żeby się można jej lękać: pod tym względem piewszeństwo nad sobą musi oddać *Serafinie...*

Sztuka ta jednak w troskliwą wzięta była opiekę, bo powołano do niej siłę zbrojną teatralną niepospolitą.

Do podjęcia się roli Wirginii mogły panią Modrzejowską zachęcać pewne cieniowania artystyczne, których charakterowi temu nie zbywa, zarówno jako i zręczności scenicznej w całym układzie. Ale co mogło zachęcić p. Żółkowskiego do podjęcia się roli Margrabiego d'Estigny, tego już doprawdy nie pojmujemy. Pamiętajmy, że p. Żółkowski jest przedewszystkiem i wyłącznie komikiem, że czterdziestoletnia rutyna nie bez wpływu przechodzi po całym organizmie człowieka. Wielki i nieporównany w stwarzaniu postaci śmiesznych od farsy aż do najpotężniejszej komedii, p. Żółkowski dziś w roli pozbawionej elementu komicznego, a nastrojonej na tron poważny, ginie do niepoznania. Jeżeli takie role jak Margrabiego d'Estigny brać będzie p. Żółkowski, to od czegoż będą pp. Stolpe albo Grzywiński? Jest to istna uroczystość teatralna, kiedy p. Żółkowski we właściwej występuje roli: na takie też chwile, zdaje się, zachowywać powinniśmy ten wielki talent, którego siły jakkolwiek dotąd niewyczerpane, nie są jednak dziś już pierwszej świeżości, i wymagają zaoszczędzenia.

Rola Barona des. Tourbieres z gry p. Królikowskiego wyszła jak tylko mogła wyjść najlepiej, chociaż z samej jej natury, wątpimy czy zadowolniła artystę; nie możemy powiedzieć żeby była absolutnie bladą, nie ma jednak w sobie tyle żywiołów, któreby talent takiego artysty uwydatnić mogły.

Szczęśliwym trafem, przynajmniej panna Popielówna, w roli Joanny, znalazła odpowiedni dla siebie materjał. Naiwne to dziecko oprócz ruchów, spojrzeń i półsłówek we wszystkich innych aktach, w jednym tylko czwartym akcie wystawione jest na dłuższą próbę, i ten też akt jest całkowitą jej, rzec można, własnością. Ślicznie artystka wyszła z opowiadania przygody swej z mniemanym kochankiem, była tak naturalną w swej naiwności, w szczerocie niewinnej duszy, że sama natura pozazdrościć by jej mogła.

Pani Niewiarowska przedstawiała szlachetny charakter matki, dosyć szeroko i w różnych odcieniach rozwinięty: odegrała go starannie, z właściwą powagą i uczuciem, powiedzielibyśmy nawet że pod względem tego ostatniego rysu widzieliśmy w niej znaczny postęp, którego winszujemy pani Niewiarowskiej, bo na niej jednej dziś rola szlachetnych matek na scenie naszej polega.

Rolę Hektora autorka wstawiła nieco w cień, nie dawszy jej nic dosyć wydatnego, rola to jednak szlachetna, choć niepokaźna, i szlachetnego też tłumacza znalazła w p. Tatarkiewiczu.

Słowem, artyści nasi, i ci których wymieniliśmy i których, dla podrzędności ról nie wymieniamy, spełnili dobrze swoje zadanie, jak u nas bywa najczęściej; zdaje nam się tylko, że szkoda było takiego zachodu względnie do rzeczy, która wewnętrzną siłą niemoże ostać się długo na świecie sztuki, gdy po ośmnastu latach istnienia już tak zwątlała i zbladła...

Kazimierz Kaszewski.

WIADOMOŚCI
Z NAUK PRZYRODNICZYCH
ODNOSZĄCE SIĘ DO
DOMOWEGO GOSPODARSTWA
I POTRZEB
ŻYCIA CODZIENNEGO.

(Dalszy ciąg).

W Normandyi, w Holandyi i w niektórych okolicach Niemiec, maślnica ma kształt zwyczajnéj baryłki, poziomo leżącéj na dwóch podstawach i obracającéj się za pomocą korby. Baryłka ta ma wewnątrz kilka wązkich deszczułeczek przeznaczonych do mięszania śmietany. Przez otwór dość szeroki i szczelnie zamykający się, wlewa się śmietana, a wyjmuje ubite masło. Gdy się masło bije, nadają przyrządowi 30 do 36 obrotów na minutę.

Czy w tym czy w tamtym przyrządzie masło się bije, ruch powinien być jednostajny i ciągły, a nie nazbyt gwałtowny; latem maślnica powinna być ochłodzona, albo postawiona w zimnéj wodzie, albo lodem obłożona; zimą zaś okrywają ją zwykle kocem, derą lub zmoczonem w ciepłéj wodzie płótnem. Czas trwania całéj operacyi zależy od pory roku, kształtu maślnicy i innych okoliczności. Latem czasem dość półgodziny na ubicie masła, gdy zimą nie raz i pół dnia na to użyć należy.

Ażeby masło było zupełnie dobre, potrzeba aby śmietana nie była stara, to jest ażeby latem była zebrana we dwadzieścia cztery godzin po wydojeniu mleka, a zimą we dwa lub trzy dni.

Po ubiciu masła, wyjmuje się ono z maślnicy, i starannie się przemywa w zimnéj wodzie, dla oddzielenia resztek mleka, jakie w niém pozostały. Płucze się ono i wygniata drewnianą łyżką, dopóki woda nie zacznie odchodzić zupełnie czystą.

Masło wiosenne, od dobrych krów i na dobrych pastwiskach utrzymywanych, jest pięknego żółtego koloru, jednakże skutkiem rozmaitych okoliczności, zależnych od miejscowości, pory roku, gatunku bydła, etc. bywa czasem białe. Wtedy nadaje mu się zwykle kolor, sokiem marchwi.

Dobre masło powinno mieć smak delikatny, słodkawy i zapach lekko aromatyczny, powinno się krajać gładko w cienkie listeczki. Dobry gatunek krów obchodzenie się z niemi umiejętne, trawy naturalne w bujnych łąkach i największa czystość w mleczarni, oto są warunki konieczne do otrzymania zupełnie dobrego masła.

Wystawione na działanie powietrza, masło psuje się dość prędko. Zmienia kolor, nabiera przykrego ostrego smaku i nieprzyjemnego, właściwego sobie zapachu, słowem jełczeje. To psucie się pochodzi od prawdziwej fermentacyi, w której kwasoród (tlen) powietrza, rozkładając substancyę tłuszczową, tworzy lotne tłuszczowe kwasy, bardzo niemiłego zapachu. Stöckhardt, znakomity profesor chemji, powiada, że przegotowawszy kilkakrotnie takie masło z podwójną ilością wody (na miarę), rzeczone kwasy się wydzielą, a po ochłodzeniu masło odzyska smak dobry.

Pozostałe w maśle cząstki mleka, działają także jakby ferment i wywołują jełczenie substancyi tłuszczowej. Wszystkie sposoby używane do zakonserwowania masła, mają na celu zobojętnienie działania tego pozostałego mleka.

Soląc masło, układając je mocno w garnki lub inne naczynia i pokrywając powierzchnię jego wodą lub sproszkowanym węglem, zapobiega się tej fermentacyi. Przetapiając je, ciepło niszczy także ów ferment usuwając jednocześnie wodę i powietrze. Wszystkie te środki dopomagają do przechowywania masła.

Jaja.

Jajko zawiera w sobie wszystkie pierwiastki, niezbędne do utworzenia tkanek zwierzęcych, ponieważ ono samo wystarcza do zupełnego ukształcenia i rozwinięcia się zarodku w niem zamkniętego. Znajdują się w niem zatem: substancye azotowe i tłuszczowe, materya cukrowa, siarka, fosfor i niektóre sole mineralne.

Wszyscy wiedzą, że każde jaje zawiera w sobie żółtko i białko.

Żółtko jest najważniejszą najistotniejszą częścią jajka. Zawiera ona bowiem zarodek, z którego ma następnie ukształcić się żyjąca istota, oraz znaczny skład substancyi pożywnych, przeznaczonych do rozwoju młodéj istoty.

Całe prawie *żółtko* złożone jest z drobnych jakby pęcherzyków, napełnionych substancyą tłustą i białkowatą. W jedném miejscu jego powierzchni, daje się widzieć mała plamka jaśniejszego koloru a okrągłego kształtu, jest to właśnie zarodek młodego ptaka; *żółtko* zawsze miękkie i rozlewające się, okryte jest błonką cieńką i przezroczystą, liczne zaś warstwy białka, skręcone po obu jego końcach tworzą rodzaj wiązadeł, podtrzymujących żółtko w zawieszeniu. Łatwo widzieć je można, ostrożnie rozbijając skorupę. Wszystko zaś pokryte jest podwójną błoną nazwaną *chorion*, z których wewnętrzna, bezpośrednio otacza *białko*, a zewnętrzna pokrywa się wapiennym osadem, dla utworzenia skorupy. Obie te błonki przystające do siebie na całej powierzchni jajka, rozchodzą się na równi z grubszym jego końcem i tworzą tak zwaną *komorę powietrzną*, rodzaj rezerwoaru na gazy, mające podtrzymywać oddychanie młodego ptaka. Skorupa przytem jest bardzo dziurkowata i ta dziurkowatość ułatwia zamianę potrzebnych gazów.

Białko jaja składa się z białkowatéj substancyi rozpuszczonéj w wodzie, a zamknięte w niezmiernie małych komórkach; ten skład właśnie nadaje mu ową powszechnie znaną postać galaretowatą. *Żółtko* także złożone jest z białka, w którem jakby roztarte substancye tłuste, a wszystko rozpuszczone w wodzie, stanowiącéj połowę wagi jajka.

Skorupa jajka kurzego waży w przecięciu 6 grammów, białka 36, żółtka 18, średnia ogólna waga jajka 60 grammów.

Swieżo zniesione jajko wydaje się pełnem i bez pęcherzyków powietrznych. Przeciwnie im jajko dawniejsze, tem przedstawia próżnię coraz to większą u ostrego końca i więcej przezroczystych punkcików w swem wnętrzu. Pochodzi to ztąd, że w jajach na powietrze wystawionych, woda ulatnia się stopniowo przez ich skorupę, ilość jej obliczają na 3 do 4 centigrammów na dzień, a powietrze miejsce jej zastępuje.

Ta różnica w gęstości jajka, może posłużyć do wskazania większéj lub mniejszéj jego świeżości, mając rozpuszczonych 125 grammów soli kuchennej i zanurzywszy wnią jajko jednodniowe, to jajko opadnie na spód naczynia. Jeśli dwudniowe, nie dostanie dna, jeśli zaś ma już dni kilka, utrzyma się napowierzchni, im starsze tem bardziéj z wody wystawać będzie.

Psucie się jaj pochodzi od działania powietrza, które powoli przez skorupę do wnętrza jego przenika. Jeśli ta skorupa pękła cokolwiek i błonka wewnętrza się przerwała, fermentacya zgniła rozwija się szybko, jaja wydają woń odrażającą, w skutek tworzenia się pewnej ilości kwasu wodo-siarkowego, z połączenia tlenu powietrza z siarką w tym zwierzęcym produkcie zawartą.

Wszystkie zatem środki przechowania jaj mające na celu, powinny być skierowane ku niedopuszczeniu do nich powietrza. Najlepiej byłoby pokrywać jaja warstwą jakiejbądź tłustości mocno przystającéj, gumą lub lakierem, gdyby te ciała niebyły stosunkowo za drogie. Srodek zaś oszczędny, a dobry na pewien czas, jest zalać świeże jaja wodą wapienną i trzymać w miejscu chłodnem. Przez warstwę wody powietrze nie przemknie tak łatwo, a wapno zapełniając dziurkowatości skorupy, bardziéj jeszcze utrudnia przystęp powietrza i pozwala przez czas dość długi jaja świeżemi zachować.

— To co się tu powiedziało odnosi się do jaj kurzych. Jaja innych ptaków domowych, będąc tegoż samego składu, mniej są dobre co do smaku, a najmniej gęsie.

Z dzikiego ptastwa jaja czajek wybornym są specyałem.

(d. c. n.)

O ubiorach.

W magazynie p. Elizy Hoffmann (plac teatralny) widzieliśmy kilka nader gustownych sukien, których opis podajemy czytelniczkom. Suknia wizytowa fijołkowa z materyi gros grain; na spódnicy u dołu mieściła się szeroka na trzy ćwierci łokcia falbana plisowana w jedną stronę. Vêtement a raczej polonezka tej sukni była rodzaju gabryeli, której przody podług upodobania robią się wolne,lub zupełnie wcinane, plecy zaś jak u zwykłego stanika. Przód polonezki otwarty z ranwersem z jaśniejszej materji, u brzegu którego podpuszczoną została falbanka plisowana.

Spódniczka poloneczki miała boki otwarte, podszyte materją nieco jaśniejszą i podpięte wachlarzowato, bryt tylny również podpięty był szarfą z końcami. Do uzupełnienia dodano jeszcze kapturek w kształcie wachlarza. Rękawy półszerokie miały plisowaną falbanę, której główkę oddzielało fantazyjne przepięcie. Widzieliśmy takąż suknię popielatą z niebieskim, co stanowiło ładną i elegancką całość. Suknia powłóczysta z popeliny Irlandzkiej koloru rezedy; u dołu spódnicy była falbana szeroka wycinana w zęby lamowane, i układana w kontrafałdy, z główką podbitą popeliną ciemniejszej barwy, i rozpiętą w muszle,ponad którą dano plisę na trzy palce szeroką, również ciemniejszej barwy, podobne falbany wraz z plisami zajmowały całą przestrzeń tylnych brytów, które jednak oprócz pierwszej brały swój początek od boków, gdzie łączyły się z przednią tiuniką, a raczej fartuszkiem koloru ciemniejszego,a to za pomocą kokard z dwóch cieniów zrobionych. Fartuszek ten oszyty został bogatą jedwabną frendzlą. Stanik francuzki z kamizelką był odmiennej barwy. Rękawy pół otwarte. Taką samą suknię robiono czarną z bleu mexique.

Kostium aksamitny czarny miał spódnicę gładką, vêtement do figury nie podpinane, boki do połowy roztwarte, wszystko oszyte sobolami i pasmanterją. Rękawy muszkietery równie futrem oszyte.

Widzieliśmy wreszcie suknię popielatą z niebieskim o dwóch stanikach,bardzo strojną i wypracowaną. Dół spódnicy miał szeroką bardzo falbanę układaną w kontrafałdy, lecz w pół łokciowych odstępach, każda fałda przytwierdzona kokardą koloru niebieskiego; w odstępach między fałdami dano falbankę plisowaną w jednym końcu szeroką, ponad którą umieszczono w odstępach trzy plisy idące ukośnie, a raczej wpółkole. Każda plisa miała podpuszczoną plisowaną falbankę niebieską w kształcie główki. Tylne bryty tuniki podpięte nizko kokardą niebieską, boki zaś zakończone w trójkąt i oszyte frendzlą wiązaną z niebieskim. Miejsce przedniego bryta tuniki, zajęła szarfa niebieska skośnie krajana dwu łokciowej szerokości, która bierze swój początek z pod rozety, przyszytej do stanu z tyłu a to z prawego boku i przebiega cały przód gubiąc się w fałdy tiuniki z lewego boku.

Stanik pod szyję okrągły miał rodzaj kołnierzyka bretońskiego z materji niebieskiej. Rękawy pół otwarte zakończone fantazyjną kokardą niebieską. Staniczek wygorsowany, stosownie był przystrojony, do tego dobrano piękne kwiaty niebieskie na głowę. Dodać tu jeszcze musimy, że suknia ta zimitowaną została z tarlatanu białego, i materji różowej prześliczną tworząc całość.

Z Kapeluszy zwrócił naszą uwagę „Page" aksamitny koloru (dębowego) chêne. Rondko u niego gładkie, całą zaś główkę czyli denko pokrywa duży pukiel aksamitny tegoż koloru, idąc od tyłu z prawej strony do przodu ku lewej, z pod którego wychodzą dwa pióra: jedno *cerise* do przodu, drugie koloru dębowych liści zapełnia całą prawą stronę kapelusza. Z tyłu dano podwójny karczek tiulowy, pierwszy na zbiegu denka, drugi spadający niżej również koronkowy, lecz na cerise podstawie. Wnętrze kapelusza podbito cerise materyą i dodano wałek ze stojących aksamitnych pukli, przeplatanych grubem skręceniem cerise. Kapelusz „Marguerite czarny aksamitny, miał rondko wyginane i tworzące od razu karczek również wygięty, na którym umieszczono dwie sute kokardy bleu malade z nader długiemi końcami; z lewej strony na denku które otacza okręcenie ze wstążki, umieszczono wianuszek z pukli bleu malade z pośrodka, którego rozchodzą się dwa pióra czarne i niebieskie. Wnętrze kapelusza było podbite materją plisowaną bleu malade. Szarfy niebieskie. Kapelusz „Lord Buckingham" czarny aksamitny. Rondko stanowi returs spadający ku dołowi i objęty dżetem; główka zupełnie gładka ma z prawej strony ku lewej spadające dwa pióra czarne, przytwierdzone podwójną kokardą czarną i *cerise.* Rondko ma od spodu dane w kształcie podpięcia skręcenie ze wstążki cerise, z szerokiemi końcami, które doprowadzone do tyłu spadają lekko związane na kok. Kapelusz „Rabagas" koloru *reseda.* Returs tegoż koloru ma dwa fantazyjne skręcenia, złożone z dwóch cieni; główkę, a raczéj denko otacza skręcenie z tiulu, spadające do tyłu w pukiel i koniec, z boku zaś lewego umieszczono dużą kokardę i różę koloru „Mauve" z gałązką liści w dwóch cieniach. Z tyłu spadały dwa końce związane w węzeł. Szarfy rezeda. Inny „Rabagas" czarny na czarnym retursie miał skręcenie z materji bleu lune, zakończone dwoma puklami w kształcie wachlarzy; główkę z lewego boku otacza pióro czarne, zachodzące aż do tyłu, z prawego zaś boku kokarda czarna i róża blado-różowa przypięta nisko, z tyłu końce spięte w pętlice. Szarfy czarne.

Kapelusz „Marin" czarny aksamitny miał główkę opasaną wstążką morową bleu lune, na której spiralnie umieszczono koronkę czarną, z lewego boku kokarda z morowéj wstążki z prawego fantazyjne pióro niebieskie, z tyłu welonik długi i koniec morowéj wstążki.

Nader ładny czepeczek „Pensée" miał rondko z walansienki, ułożonej w trzy zęby, w których wpięte są kokardy w kształcie bratka z trzech pukli mniejszych, ze wstążki bleu malade, i z dwóch większych fijołkowych, i takiegoż małego przepięcia; z tyłu spadał welonik muślinowy, oszyty walansienką, ułożony w zęby w pośrodku których mieścił się takiż bratek, ale nieco większy. Czepeczek „Pompadour". Zeszytą walansienkę szeroką na trzy palce, przedzielające dwie kokardy z morowej różowej wstążki umieszczono z każdego boku, to stanowiło rondko, główkę zaś stanowi położona prostopadle czarna aksamitna kokarda, której jeden pukiel i koniec na czoło, drugi zaś na tył głowy spada, wraz z długim wyciętym do połowy w zęby i oszytym walansienką końcem różowym. Kokarda czarna, ma różowe przepięcie i mieści się w fantazyjnie ułożonym weloniku.

Czepeczek „Jeannette" wstążka różowa morowa wycięta w deseń grecki, oszyty walansienką i ułożony w kontrafałdy, stanowił główkę czepeczka; z prawego boku dano podwójną kokardę, niżéj różową w kształcie wachlarza, a nad nią bronzową morową, która stanowi rodzaj egrety z tyłu; na długim końcu schodzą się dwa zęby welonika muślinowego, imitując denko. Tylny koniec różowy, u dołu wycięty oszyty był walansienką i zakończony kokardą, w kształcie wachlarza.

Czepeczek „Isabelle" na trzy pukle z morowéj niebieskiej wstążki do cieniu, to jest, bleu turquoise, i bleu lune, spada koronka biała „bruges" na niéj umieszczono długą kokardę złożoną z czterech spadających pukli i przepięcia z tyłu. Welonik z tiulu brukselskiego oszyty koronką, fantazyjnie upięty, rozchodzi się po nad czoło, spada w koniec z tyłu, łącząc się z puklami i końcami wstążek. Czepeczki takie wyrabiają się od rs. 6 do 12 i wyżéj.

Wiadomo jest paniom naszym że niełatwo mieć rękawiczki tanio i dobrze uprane. Z tego względu uważamy za stosowne polecić p. Barbier zamieszkałego przy ulicy Szczygléj N. 5 (za Ordynacką) i przyjmującego również rękawiczki do prania w magazynie mód p. Istre, przy ulicy Niecałej i wsklepie p. Szewczykowskiej w hotelu Paryzkim. Oprócz tego że pranie p. Barbier odznacza się starannością, znikają w niem zupełnie plamy od przepocenia, za pomocą sekretu, będącego wyłączną własnością wynalazcy.

ZAWIADOMIENIE.

Przypominamy, że termin ostateczny do wycofania papierów bankowych starej formy, przypada na dzień 13 Stycznia 1873 roku, po którym to dniu rzeczone papiery nigdzie przyjmowanemi nie będą.

Korespondencja.

Pani Józefie B. Przesyłając prenumeratę na Tyg. Mód wprost do Redakcyi, trzeba było zaraz upomnieć się o początek powieści, dziś takowe już zupełnie wyczerpnięte.

N. 48. Przyjaciela dzieci wyszedł z druku i zawiera: Święty Filip Apostoł przez M. S. (z ryciną).— Biedna Albina, Powieść oryginalnie napisana przez Maryę Brühl.— Pastuszek, przez W. z Zacisza. — Bramy gór skalistych przez Teressę Jadwigę (z ryciną).—Podróż Kazi przez Bronisławę (ciąg dalszy).— Pogadanki z Ojcem XIII.—Olbrzymi bożek na wyspie Singopore, przez Teressę Jadwigę (z ryciną).— Czyny nauczające: Chlubne dopełnienie obowiązku.— Opowiadacze na Wschodzie. W dodatku: przygody Ryszarda Angielskiego, opowiadanie historyczne ułożone z powieści angielskich pisarzy (ciąg dalszy).

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami oraz **Prospekt na Przyjaciela Dzieci, Zorzę i Tygodnik Mód.**

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 49 r. 1872.

JOHN SCROOGE

POWIASTKA.

NA BOŻE NARODZENIE

PRZEZ

Karola Dickens'a.

(Dalszy ciąg.)

— Czy szpitale i domy przytułku zostały skasowane? zapytał.

— Uchowaj Boże! należałoby raczéj powiększyć ich liczbę.

— Wszakże mamy w kraju więzienia.

— O! aż nadto ich wiele.

— Prawo karne i podatek na biednych, zawsze pozostają w swéj mocy?

— Tak jest, i niepodobna aby się bez nich obejść, odrzekł z pewnem zadziwieniem.

— Ach! bardzo mnie to cieszy! przyznam się, że z pierwszych słów panów wnosiłem z obawą, że jakieś nieprzewidziane okoliczności powstrzymały działanie tych tak pożytecznych instytucyi,—odrzekł Scrooge.

— O! nie, dzięki niebu! ale cała ich działalność nie jest w stanie zapobiedz coraz więcéj szerzącéj się nędzy, która szczególniéj w téj porze roku nader dotkliwie uczuć się daje. Głód i zimno wiele zabierają ofiar! a kiedyż boleśniej czuć się daje niedostatek, kiedyż pożądańszą jest pomoc bratnia, jak w te dni uroczyste, takiem weselem przejmujące cały świat chrześcijański; to też zbieramy składkę aby choć trochę ciepłéj strawy i drzewa rozdać nieszczęśliwym. Najubożsi dają co mogą; ileż pan przeznaczasz?

— Nic!

— A! to, zapewnie ma się znaczyć żebym ofiarę pana zapisał bezimiennie?

— To się ma znaczyć, żebyś mi pan dał święty pokój. Co za dzika pretensya, żeby koniecznie radować się w Boże Narodzenie; ja tam wcale się nie weselę i nie potrzebuję dostarczać próżniakom na zbytki. Opłacam regularnie wysoki podatek na utrzymanie wyż wspomnionych instytucyj—niech ci, którym źle u siebie, udają się do nich.

— Nie wszyscy mogą znaleźć tam pomieszczenie, a zresztą wiele osób wolałoby umierać.....

— A któż im broni, przerwał Scrooge; nie ma lepszego środka na zmniejszenie nadmiaru ludzkości. Zresztą cóż mnie to wszystko obchodzi? aż nadto mam kłopotów ze swemi interesami, żebym miał jeszcze troszczyć się o cudze. Mam dziś jeszcze wiele zajęcia i dla tego żegnam panów.

Widząc bezużyteczność próśb, nieznajomi odeszli; Scrooge zabrał się do ukończenia rachunków, więcéj niż kiedy zadowolniony z siebie.

Ciemność i mgła tak się zwiększały, że tu i owdzie migali się po ulicach ludzie z pochodniami i za małą opłatą przyświecali przechodniom lub szli przed końmi. Starożytna wieżyca pobliskiego kościoła, któréj odwieczny, pordzewiały dzwon, zdawał się zawsze ciekawie przyglądać siedzącemu przy biórku Scrooge'owi, przez małe gotyckie, w murze wybite okienko, stała się zupełnie niewidzialną, a umieszczony w niéj zegar wybijał gdzieś, w chmurach godziny i kwadranse, drżącym i przeciągłym dźwiękiem, jak gdyby zęby jego dzwoniły w zmarzłéj głowie. Mróz brał coraz większy. Na rogu ulicy, gromadka robotników naprawiających rury gazowe roznieciliwielki ogień, w około którego cisnęli się ludzie okryci łachmanami i nagie prawie dzieci, ogrzewając zziębnięte członki i rozkoszując się widokiem jasnego płomienia.

Jasno oświetlone okna sklepów, po za któremi widać było wielkie gałęzie i drzewka hoinowe, rzucały jakiś czerwonawy odblask na twarze przechodniów. Sklepy korzenne i składy drobiu tak okazałe były przystrojone, iż patrząc na nie zdawało się, że przewodnią myślą téj wystawy była tylko miłość sztuki, a nie marna chęć sprzedaży i zysku. Lord major Londynu w swéj potężnéj fortecy Mansion-House wydawał rozkazy swoim pięćdziesięciu kucharzom i swoim pięćdziesięciu szafarzom i piwniczym, aby godnie uczcić Boże Narodzenie, jak to czynić należy w domu lorda majora,—a nawet i biedny krawczyna skazany w zeszły poniedziałek na karę pięciu szylingów, za to, że upiwszy się szalone brewerye wyrabiał na ulicy, czynił wielkie przygotowania w swéj izdebce na strychu, gdzie nazajutrz miał się przyrządzać *puding*, a chuda jego połowica z chudem dzieciakiem na ręku, wychodziła właśnie do jatek, aby kupić na jutro niezbędny kawałek mięsa.

Mgła i zimno zwiększają się nieustannie, a zimno takie mroźne, dotkliwe i przejmujące!... W tem młody właściciel małego skurczonego i strasznie umrożonego nosa, stanąwszy przy drzwiach Scrooge'a pochylił się do dziurki od klucza i zaczął śpiewać kolendę. Zaledwie pierwsze odezwały się tony, Scrooge z tak energicznym ruchem pochwycił leżącą przed sobą linję, że śpiewak uciekł co prędzéj, zostawiając wolny przystęp mgle i mrozowi, które gwałtownie cisnęły się przez dziurkę od klucza, nieprzepartą sympatją pociągane ku Scrooge'owi.

Nareszcie nadeszła godzina zamknięcia kantoru. Scrooge zły i kwaśny podniósł się z fotela, było to jakby niemem zezwoleniem dla siedzącego w ciemnéj ciupce subjekta, że może sobie odejść; to też co prędzéj zagasił świecę i włożył kapelusz na głowę.

—Zapewne życzysz pan sobie świętować cały dzień jutrzejszy? zapytał Scrooge.

— Jeśli pan nie masz nic przeciw temu....

— Wszystko mam przeciw temu, bo jest to największa niesprawiedliwość,—a jednak jestem pewny, że gdybym panu strącił za ten dzień dwa szylingi, uważałbyś żem cię skrzywdził.

Subjekt lekko się uśmiechnął.

— Dziwny doprawdy obyczaj, żeby co rok dnia 25 grudnia, obdzierać ludzi, każąc sobie płacić za darmo; mruczał Scrooge, zapinając paltot. No! idź pan sobie, ale staraj się choć w części wynagrodzić mi jutrzejsze próżniactwo, przychodząc pojutrze jak najraniéj.

Subiekt przyrzekł spełnić polecenie, i co tchu pobiegł ku Kamden—Jown, gdzie znajdowało się nędzne jego mieszkanie. Scrooge zamknął kantor i odszedł mrucząc i gniewając się na Boże Narodzenie i tych co się z niego cieszą.

Poszedł do nędznéj garkuchni, w któréj stołował się codziennie, przeczytał znajdujące się tam dzienniki, poczem wrócił do domu i nacieszywszy się przeglądaniem książki dochodów i zysków, zamierzał udać się na spoczynek. Mieszkał w lokalu zajmowanym niegdyś przez swego wspólnika. Była to anfilada ciemnych pokoi, stanowiących część posępnego budynku, stojącego na rogu ciasnéj uliczki, gdzie tak jakoś wydawał się nie na swojem miejscu, iż koniecznie zdawało się, że chyba kiedyś za młodych lat, bawiąc się w chowanego z innemi domami ukrył się tu i pozostał nie mogąc trafić na swoje miejsce. Obecnie dom ten był już bardzo stary i bardzo smutny, i nikt w nim nie mieszkał prócz Scrooge'a, gdyż inne lokale wynajęte były na kantory i składy. Podwórze było tak ciemne, że sam Scrooge, który przecież doskonale znał miejscowość, musiał iść bardzo ostrożnie, wyciągając ręce przed sobą. Mróz i mgła tak osłoniły starą, ponurą bramę, iż zdawało się, że duch zimy rozsiadł się na progu, w ponuréj zatopiony zadumie.

Prawdę mówiąc, klamka u drzwi wchodowych prowadzących do sieni nie miała w sobie nic szczególnego,—chyba tylko, że była bardzo duża, ale Scrooge znał ją doskonale, bo od bardzo dawnych lat, otwierał ją codzień rano i wieczór: daléj, mniéj może niż ktokolwiek z mieszkańców Londynu, (niewyłączając członków parlamentu, aldermenów i notablów) mógł się pochlubić żywą i rozbujałą wyobraźnią, i klnę się wam na wszystko, czytelnicy, wierząc więc iż wyjąwszy przypadkowéj wzmianki w rozmowie z nieznajomymi panami, przez cały dzień ani pomyślał o zmarłym wspólniku i rocznicy jego śmierci. Wytłomaczcież mi więc, proszę, jak się to stać mogło, że kładąc klucz w zamek, w miejscu zajmowanem zwykle przez klamkę, widział wyraźnie twarz Marley'a—choć nie wymawiał żadnych czarnoksięzkich zaklęć, mogących dokonać téj przemiany.

Jak się to stać mogło,—nie wiem,—dość że najwyraźniéj ukazała mu się twarz Marley'a I nie był to bynajmniéj ciemny cień jak wszystko w około, przeciwnie twarz ta otoczona była jakiemś ponurem światłem, błyszczącem jakby fosfor w ciemnéj piwnicy. Nie było w niéj ani gniewu, ani złości, a oczy patrzyły jak zwykle Marley patrzył na Scrooge'a za życia, tylko, że choć otwarte, były całkiem nieruchome. Podniesione okulary, opierały się o czoło upiora. Twarz była sina, trupio-blada, przerażająca. Scrooge uczuł jakiś wstręt niewypowiedziany; zaczął jednak bacznie wpatrywać się w widziadło, i wszystko znikło, i widział tylko klamkę.

Nie powiemy, że nie zadrżał, że go nie przejął strach jakiego nie zaznał od lat dziecinnych, bo byłoby to grube kłamstwo, ale to pewna, że podniósł klucz który w pierwszéj chwili wypadł mu z ręki, włożył w zamek, otworzył prędko, wszedł i zapalił świecę.

Ze świecą w ręku zaczął uważnie przyglądać się drzwiom, przygotowany niemal, że ujrzy po za niemi widmo Marley'a z olbrzymim ogonem,—ale nie zobaczył nic prócz zawias i gwoździ, przytrzymujących klamkę, co widząc trzasnął drzwiami, mrucząc pod nosem:

— Bah! głupstwo!

Odgłos tego trzaśnięcia rozległ się w całym domu, jakby huk grzmotu. Wszystkie pokoje na piętrze

wszystkie beczki w piwnicy, wynajętej przez kupca win, przyjmując udział w powszechnym koncercie, dziwne jakieś wydawały echa. Ale echa nie zdołały przestraszyć takiego jak Scrooge człowieka, zamknął dobrze drzwi, i minąwszy sień wszedł na wschody, od czasu do czasu poprawiając knot od świecy.

Myślisz może, czytelniku, że były to owe poczciwe, starodawne wschody, na które możnaby prawie wjechać sześcio-konną karetą—ba! wszystko to niczem jest w porównaniu z szerokością wschodów Scrooge'a. Tu nie karetą, ale najokazalszym karawanem wygodnie wjechać by można, i orszak najliczniejszego pogrzebu, doskonale by się pomieścił. I dla tego to może wśród otaczających go ciemności, zdawało się Scrooge'owi, że widzi postępujący przed sobą orszak pogrzebowy; chcąc jako tako oświetlić ogromną sień i schody, trzebaby przeprowadzić z jakie pół-tuzina promieni gazu, łatwo więc pojąć, że pomimo świeczki, którą Scrooge niósł w ręku, zupełnie prawie było ciemno.

Nie zważając na to wchodził zwolna na wschody; ciemność nic nie kosztuje, i dla tego Scrooge żadnej nie czuł do niej niechęci. Zanim zamknął ciężkie drzwi wchodowe, przebiegł wszystkie pokoje, jakby chcąc się przekonać czy się tam coś nie zmieniło,—kto wie czy nie wspomnienie tajemniczego widma było tego powodem.

W salonie, w gabinecie, w pokoju sypialnym wszystko znalazł w porządku; zaglądał do szafy, pod stoły, pod łóżko, pod sofę, ale nie znalazł nikogo.

Na kominku płonął mikroskopijny ogień, przy którym stał garnuszek z ziółkami od kaszlu; tuż obok na stoliku filiżanka i łyżeczka. Wiszący na ścianie szlafrok miał jakąś podejrzaną minę; zbliżył się ostrożnie, ale nikt nie ukrywał się pod nim. Zajrzał jeszcze do garderoby—i tam nie było nikogo.

Uspokojony najzupełniej, sprobował jeszcze czy drzwi dobrze zamknięte, i pewien, że nikt wejść nie może, rozebrał się, włożył szlafrok, szlafmycę, pantofle i usiadł przed kominkiem pijąc swoje ziółka.

Prawdę mówiąc ogień był tak maluczki, że prawie żadnego nie wydawał ciepła, i chcąc się cokolwiek ogrzać, Scrooge musiał się nad nim blizko bardzo pochylić. Kominek był bardzo a bardzo stary, i zapewnie kazał go kiedyś stawiać jakiś kupiec holenderski. Cały był wyłożony flamandzkiemi blachami, przedstawiającemi różne sceny z Pisma św. Był tam Kain i Abel, córki Faraona, królowa Saba, posłańcy niebiescy zstępujący z nieba po obłokach, Abraham, Baltazar, Apostołowie i wiele jeszcze postaci mogących zwrócić jego uwagę, a jednak mimo to wszystko, jedna tylko twarz zmarłego przed siedmiu laty Marley'a, nieustannie stała mu na oczach. I twarz ta zdawała się mnożyć do nieskończoności, ukazując mu się gdzie tylko spojrzał.

Głupstwo!.. rzekł wstając, i zaczął wielkiemi krokami chodzić po pokoju.

Po kilku chwilach usiadł znów w fotelu. Wsparł głowę o poręcz fotela, a roztargnione spojrzenia jego padły przypadkiem na dzwonek wiszący przy ścianie w rogu pokoju; kiedyś, niewiadomo w jakim celu, miał on kommunikacyę z izdebką jakąś pod strychem domu, ale od niepamiętnych lat już zostawał bezczynny. W chwili kiedy Scrooge bezmyślnie spojrzał na niego, postrzegł z zadziwieniem i trwogą że dzwonek poruszał się coraz wyraźniej. Z początku poruszał się zwolna i cichutko, tylko wydawał dźwięki, ale stopniowo zaczął dzwonić jakby na gwałt, i naraz wszystkie dzwonki w całym domu przyjęły udział w koncercie.

Ta kocia muzyka może nie trwała dłużej nad minutę, ale minuta owa wydała się Scrooge'owi długą godziną. Dzwonki, jak jednocześnie zaczęły, tak i jednocześnie przestały dzwonić, ale w ich miejsce dał się słyszeć jakiś głuchy odgłos wychodzący z pod ziemi, jak gdyby ktoś ciągnął długi łańcuch żelazny, po beczkach znajdujących się w piwnicy wynajętej na skład win. Nie wiedzieć zkąd przypomniał sobie Scrooge, iż nieraz widma pokazujące się na świecie, zawsze ciągną za sobą długie łańcuchy.

Teraz usłyszał że drzwi piwnicy otworzyły się z ogromnym trzaskiem, następnie łomot i dzwonienie łańcuchem z piwnicy przeszło na parter, potem na wschody, a nareszcie dało się słyszeć tuż po za jego drzwiami.

— Eh, wszystko to głupstwo, zawołał: nie chcę wierzyć w podobne gusła.

Zbladł jednak bardzo gdy w tejże chwili, pomimo że drzwi były zamknięte, upiór przeniknął przez nie i przeszedłszy przez pokój, stanął tuż przed nim. W tejże chwili gasnący już ogień nagle buchnął płomieniem, jak gdyby chciał powiedzieć. „Aha! poznaję go, to duch Marley'a,—poczem zagasł zupełnie....

Tak, wątpić niepodobna, to Marley! to wyraźnie jego twarz, jego ruchy, jego oczy. W pasie, obwinięty był ogromnym łańcuchem, który ciągnął się za nim niby długi bardzo ogon, i Scrooge widział wyraźnie że ogniwa tego łańcucha składały się z kass ogniotrwałych, z kłódek, z kluczy, z wielkich ksiąg rachunkowych, z banknotów, z weksli, i worków z brzęczącą monetą. Ciało upiora zupełnie było przezroczyste, tak że patrząc z przodu, Scrooge mógł najdoskonalej przejrzeć go nawylot.

Kiedy Marley żył jeszcze, Scrooge nie raz słyszał jak mówiono o nim, że nie ma serca, ale nigdy nie chciał temu wierzyć. I teraz choć wyraźnie stał przed nim, choć mógł przejrzeć go na wskroś, choć czuł grobowy jego oddech, czuł lodowate zimno od oczu zlodowaciałych śmiercią, choć poznawał fularową chustkę, którą podwiązano pod brodę zmarłemu Marley'owi, jednak mimo to wszystko nie dawał wiary własnym zmysłom, nie chciał wierzyć temu na co patrzał.

— Cóż to znów za komedja? czego chcesz odemnie? zawołał, zimny i kostyczny jak za zwyczaj.

— Chcę wiele rzeczy, odrzekło widmo.

Tak to Marley, nie ma wątpliwości. poznał głos jego, mimo to jednak, zapytał:

— Kto jesteś?

— Pytaj raczej kto byłem.

— Mniejsza oto; więc kto byłeś?....jak na ducha za nadto przywiązujesz wagi do grammatyki.

— Za życia byłem twoim wspólnikiem, Jakóbem Marley.

— Czy możesz.....czy możesz usiąść? zapytał z niejakim powątpiewaniem.

— Mogę.

— To siadaj, proszę.

Scrooge zadał to zapytanie dla tego. że nie wiedział czy widmo tak przezroczyste posiada niezbędne warunki do zajęcia miejsca, i spodziewał się że zniewoli go tym sposobem do dość kłopotliwych tłomaczeń; ale upiór usiadł naprzeciw niego tak swobodnie jak gdyby nigdy nic innego nie robił.

— Nie wierzysz że tu jestem?

— Nie! odrzekł Scrooge.

— Wszakże najlepszym dowodem jest to, że mnie widzisz wyraźnie?

— Nie koniecznie najlepszym.

— Jakto więc nie wierzysz własnym zmysłom.

— Nie wierzę w nic i niczemu, a zmysłom tem mniej jeszcze, bo na ich omamienie dość najlżejszej niedyspozycyi żołądka. Niby to cię widzę, a jednak bardzo być może, iż jesteś tylko niestrawionym kawałkiem befsztyku, pół łyżeczką musztardy, kawałkiem sera, lub wreszcie niedogotowanym kartoflem....

Scrooge drwił i dowcipkował, choć w gruncie duszy wcale mu było niewesoło; nadrabiał miną dla dodania sobie odwagi, gdyż głos widma przejmował go niewypowiedzianym strachem, aż do szpiku kości.

Siedzieć tak z oczami wlepionemi w szkliste i nieruchome oczy widma—każdy przyzna, że można się było bać, tem więcéj że Scrooge czuł dobrze, iż to jest sprawka szatańska. Już sama piekielna atmosfera otaczająca widmo, miała w sobie coś strasznie przerażającego; widmo siedziało zupełnie nieruchomie, a mimo to jego włosy, poły od sukni, nieustannie drgały lekko, jakby poruszane wrzeniem pary wydobywającej się z piekielnego kotła.

— Czy widzisz to piórko do zębów? zapytał Scrooge, chcąc jakim bądź sposobem, choćby na chwilę odwrócić od siebie przeszywające, zimne jak marmur spojrzenie widma.

— Widzę.

— Nawet nie spojrzałeś na nie.

— Pomimo to widzę je dobrze.

— No! więc wiedz że dość by mi było je połknąć, aby do końca życia być prześladowanym przez całe legiony djabełków i duchów, będących po prostu wytworem własnéj mojej wyobraźni. I dla tego raz jeszcze powtarzam: Głupstwo! wszystko głupstwo! nie wierzę w nic i niczemu!..

Usłyszawszy te słowa upiór wydał krzyk straszny przerażający i wstrząsnął silnie łańcuchem, którego ogniwa wydały groźny, grobowy odgłos; Scrooge silnie chwycił się poręczy fotelu, aby nie upaść ze strachu, który najwyższej doszedł potęgi, w chwili gdy upiór, (jak gdyby mu za gorąco było w pokoju) zrucił chustkę jaką miał podwiązaną, a niczem nie podtrzymywana szczęka, zaraz opadła na piersi.

Scrooge padł na kolana, zakrywając twarz rękami.

— Litości!..litości!..wołał błagalnym głosem; straszne widziadło, czemuż mnie tak dręczysz?

— Ziemska i skażona duszo! rzekło widmo surowym głosem; wierzysz w moją obecność, czy nie?

— Wierzę...muszę wierzyć; rzekł Scrooge. Ale po cóż duchy spacerują po naszym świecie....po co przychodzisz do mnie?

— Jest to obowiązkiem każdego człowieka, odrzekło widmo, aby dusza jego przenosiła się, że tak powiem, z miejsca na miejsce, dzieliła prace, zajęcia, radości i smutki bliźnich swoich; jeśli za życia tego nie dokona, i zasklepiona w sobie żyje tylko samolubnie, wtedy musi po śmierci nieustannie błąkać się po świecie.....musi być biernym świadkiem czynności i uczuć, któremi w ciągu życia napawać się i podzielać je mogła, zużytkować je dla własnego lub innych ludzi szczęścia. A straszna to kara! zawołało rozpacznie widmo; o! biada mi, biada!...

— I znów ryknęło przeraźliwie, wstrząsnęło łańcuchem? załamało swe przezroczyste ręce.

— Powiedz mi dla czego jesteś przykuty do łańcucha, zapytał Scrooge drżącym głosem.

— Dźwigam łańcuch jaki sobie ukułem za życia, każdy łokieć, każde ogniwo jego, mojem jest dziełem sam, swoją wolną wolą zawiesiłem go na sobie i zawsze dźwigać go będę. Przypatrz się dobrze z czego jest utworzony.

Scrooge drżał jak liść osiny.

— A może chcesz wiedzieć, mówił dalej upiór jak ciężki i długi jest ten ogromny łańcuch, który ty wleczesz za sobą? Dziś właśnie kończy się siedm lat, był tak długi i ciężki jak ten, który ja dźwigam, obe-

cnie, ale od owego czasu powiększałeś go nieustannie, to też dziś już olbrzymi utworzyłeś łańcuch.

Scrooge trwożliwie obejrzał się wokoło czy nie ujrzy jakich sześćdziesięciu sążni żelaznego łańcucha, ale nic nie zobaczył; po chwili dodał błagalnym głosem.

— Marley'u! mój dobry, stary Jakóbie, mój wierny wspólniku, czemu tak straszne prawisz mi rzeczy? czemu nie powiesz mi kilku słów pociechy?

— Ha! ha! zaśmiał się upiór; zachciało ci się!... nie wolno mi przemawiać słowami pociechy...kto jéj żąda na świecie, niech jéj szuka w własnem sercu, w modlitwie lub w wdzięcznem oku bliźniego, którego łzy osuszył lub uczucia podzielał, widzisz więc John'nie Scrooge, że jej nie ma dla takich ludzi jakim ja byłem, jakim ty jesteś. Dalej nie wolno mi mówić wszystkiego cobym chciał ci powiedzieć, i już tylko chwilkę pozostać mogę z tobą. Nie wolno mi odpoczywać, nie wolno mi nigdzie przebywać i zatrzymać się dłużej, jak wiesz, za życia duch mój nigdy nie oddalał się z kassy i kantoru, nie przekraczał nigdy ciasnych granic naszego bióra, i dla tego teraz muszę błąkać się nieustannie i długie odbywać wędrówki.

Ilekroć Scrooge był zamyślony lub zakłopotany, miał zwyczaj kłaść ręce w kieszenie, co też i teraz zrobił, rozważając słowa widma; po chwili rzekł grzecznie i pokornie.

— Widać jak się opóźniłeś, jak wiele dróg zaniedbałeś, kiedy wędrując bez ustanku przez całe lat siedm, jeszcześ się nie uiścił z zaległości.

— Tak, całe lat siedm, bez wytchnienia i spoczynku ..a jedynem towarzystwem straszne wyrzuty sumienia!...jęknęło widmo!

— Czy prędko podróżujesz?

— Na skrzydłach wiatru.

— Przez te kilka lat musiałeś zwiedzić wiele krajów...

Usłyszawszy te słowa, widmo wydało trzeci z kolei krzyk, jeszcze straszliwszy i okropniejszy, i jednocześnie tak głośno brzęknęło łańcuchem, iż gdyby patrol przechodził wówczas, niezawodnie zaprowadziłby je na odwach, za wyprawianie w nocy tak przeraźliwych hałasów.

— O! nędzny człowiecze, który nie potrafisz oderwać się od ziemi i poważniejszemi zająć myślami. Czemuż nie pamiętasz o tem, że każdy człowiek winien wedle możności brać udział w wielkich pracach ludzkości i przyczyniać się do jéj postępu! czemuż nie umiesz tego pojąć, że największy żal nie jest w stanie wynagrodzić złego, wynikającego z każdej opuszczonej w życiu naszem sposobności spełnienia czegoś dobrego.....a ja, niestety! tak wiele pod tym względem zawiniłem.

— Przecież byłeś zawsze akuratny i biegły w interesach, Jakóbie,—rzekł Scrooge, który mimowolnie zaczął zastanawiać się nad sobą.

— Czemże są po za grobem wszelkie giełdowe i handlowe interesa! zawołał upiór załamując dłonie. Nie podobnemi sprawami powinienem był zajmować się wyłącznie,—ale raczej sprawą ludzkości i powszechnego dobra. Miłosierdzie, miłość bratnia, oświecanie ciemnych, ocieranie łez niedoli, poświęcanie dla dobra współbraci, oto główne nasze obowiązki, obok których własne interesa są, jakby kropla wody zaurzona w niezmierzonym oceanie.

I wyciągając rękę jak mógł najwięcej, brzęknął silnie łańcuchem i odrzucił ze wstrętem, ten powód bezskutecznych żalów.

—Dziś wigilja Bożego Narodzenia, jest to właśnie epoka w której najstraszniej cierpię. Ach, czemuż żyjąc na świecie wśród tłumów współbraci, oczy moje pełzały zawsze po ziemi, i nigdy nie wzniosły się ku niebu, ku tej błogosławionej gwiaździe, która wiodła trzech króli ku biednej stajence; na ziemi tyle jest lepianek, tyle tajonych nędz, które światło jéj byłoby mi objawiło...

Scrooge sam nie wiedział co się z nim dzieje; każde słowo Marley'a strasznem echem odbijało się w jego duszy; cały drżał jak w paroksyzmie febry.

— Słuchaj, mówiło dalej widmo, bo chwilkę już tylko mogę pozostać z tobą.

— Słucham jak najuważniej, ale mój Kubusiu czy nie mógłbyś pomówić o czem innem? czemu prawisz mi takie straszne rzeczy, od których włosy powstają na głowie?

Jakby nie słysząc, upiór mówił dalej:

— Nie umiem powiedzieć jak się to dzieje, że dziś jestem dla ciebie widzialnym, bo nie raz siadałem obok ciebie, a wcale mnie nie spostrzegałeś...

Scrooge drgnął, i otarł zimny pot kroplami, spadający mu z czoła.

— Dziś przybyłem oznajmić ci, iż pozostaje ci jeszcze jedna sposobność, jedyna nadzieja uniknienia strasznej przyszłości i kary, jaka mnie spotkała.... a sposobność tę i nadzieję mnie zawdzięczać będziesz.

— Dziękuję ci, Marley'u, zawsze byłeś dobrym dla mnie.

— Zobaczysz trzech duchów...

Scrooge drgnął gwałtownie, był teraz prawie tak blady jak obok siedzące widmo.

— I to jest owa nadzieja o jakiej mówiłeś? wyszeptał.

— Tak.

— To.... to.. przyznam ci się, wolałbym obejść się bez ich odwiedzin.

— Bez ich odwiedzin nie uniknąłbyś mego losu. Pierwszy duch ukaże ci się jutro w nocy, gdy zegar wybije dwunastą.

— Mój dobry Jakóbie, jeśli już koniecznie mam widzieć się z niemi, to lepiej byłoby żeby wszyscy trzej przyszli razem.... prędzej bym się ich pozbył.

Nie zważając na te słowa, widmo mówiło dalej.

— Drugi nazajutrz o tejże samej godzinie, a trzeci następnej nocy, z ostatnim dźwiękiem zegaru bijącego północ. Mnie nigdy już więcej nie ujrzysz, ale dla własnego dobra nie zapominaj co ci mówiłem...

To powiedziawszy, upiór wziął chustkę ze stolika i napowrót podwiązał pod brodę, a Scrooge słyszał wyraźnie suchy zgrzyt szczęk zbliżonych do siebie tym sposobem. Gdy nareszcie odważył się podnieść oczy i spojrzeć na swego nadprzyrodzonego gościa. ujrzał go stojącego przed sobą, i podtrzymującego rękami olbrzymi swój łańcuch.

Widmo oddalało się cofając ku oknu: za każdym jego krokiem okno uchylało się nieco, a gdy stanął tuż pod niem, otwarło się na rozcież. Widmo kiwnęło, Scrooge zbliżył się ku niemu; gdy już był tylko o dwa kroki, cień Marley'a podniósł rękę, na znak aby się nie zbliżał więcej. Scrooge stanął jak przykuty, zdjęty zarazem podziwieniem i trwogą, gdyż w tejże chwili gdy widmo podnosiło rękę, usłyszał rozchodzące się w powietrzu jakieś niewyraźne, pomięszane odgłosy narzekań, rozpaczliwych skarg, niewysłowionych boleści, smutków, żalu i wyrzutów sumienia. Widmo słuchało chwilkę, poczem przyłączyło swe użalania do tego pozagrobowego chóru, rozwiało się i znikło w ciemnościach nocy.

Wtedy Scrooge, gnany palącą ciekawością, jednym krokiem przysunął się do okna, i spojrzał w przestrzeń.

Tu i owdzie błąkały się w powietrzu dusze pokutujące, i unosząc się gdzieś w nieznane strefy, wydawały ciężkie, głośne jęki i westchnienia. Każde widziadło ciągnęło za sobą łańcuch mniej więcéj długi, a niektóre małe gromadki (może dyplomaci jedną rządzący się polityką) były jednym spowite łańcuchem. Niektóre z tych widm ukazywały Scrooge'owi dobrze mu znane za życia oblicze i tak między innemi poznawał pewnego starego kawalera w jasnym paltocie, dźwigającego ogromną obręcz żelazną, przytwierdzoną do nogi, który rwał sobie włosy i załamywał ręce, z rozpaczy, że nie może wesprzeć pewnej nieszczęśliwej kobiety, siedzącej z dzieckiem na ręku, pod progiem jakiegoś domu.

Scrooge widział wyraźnie, że największą męczarnię wszystkich tych widm było to właśnie, iż daremnie za późno pragnęli przyjąć udział w sprawach ludzkich i wykonać coś dobrego, a już na zawsze stracili wszelką do tego możność.

Czy widziadła te rozpłynęły się we mgle, czy mgła osłoniła ich swoim płaszczem? Scrooge nie umiał sobie odpowiedzieć na to, dość że cienie i głosy znikły i zamknęły jednocześnie, i czarna noc roztoczyła się przed jego wzrokiem.

Zamknął okno i jak najstaranniej obejrzał drzwi, któremi weszło widmo; zamknięte były na dwa spusty i na zasuwę. Chciał już powiedzieć: Głupstwo, ale ugryzł się w język i zamilkł, wybełkotawszy zaledwie pierwszą sylabę. Znużony pracą dzienną silnemi wrażeniami, widokiem niewidzialnego świata, przerażającą rozmową z upiorem, i widząc że już bardzo późno, w szlafroku rzucił się na łóżko i niebawem zasnął twardo.

CZĘŚĆ DRUGA.

Pierwszy z zapowiedzianych duchów.

Scrooge przewrócił się na łóżku, otworzył oczy i obejrzał się dokoła, ale tak było ciemno, iż zaledwie mógł rozróżnić okno od ścian pokoju. W tem zegar poblizkiéj wieży wydzwonił cztery kwadranse; zaczął się przysłuchiwać jaką wybije godzinę. Liczył i liczył i naliczył aż jedenaście uderzeń.

Co to jest! zawołał; wiedział dobrze, że położył się już po pierwszéj, jakże więc może być jedenasta? Widocznie zegar zepsuty,—czyżby kółka zamarzły od zimna? Wyciągnął rękę i namacawszy zegarek swój leżący na stoliku przy łóżku, przycisnął sprężynę, repetier wybił jedenastą.

— Jedenasta! zawołał, ależ to niepodobna żebym przespał dzień cały i część następnej nocy? niepodobna aby słońcu przytrafił się jakiś przypadek i żeby o jedenastéj przed południem była noc tak czarna!..

Zerwał się z łóżka i po ciemku doszedł do okna, przetarł rękawem od szlafroka zapotniałe szyby i zaczął wyglądać na ulicę, ale jakoś nic nie widział. Na dworze było tak samo ciemno jak w pokoju; mróz i mgła nic się nie zmniejszyły, ale ludzi wcale nie widać było,—żaden powóz nie przejeżdżał, co koniecznie musiałoby mieć miejsce, gdyby dzień panował na świecie. Jakim sposobem może być jedenasta kiedy położył się o pierwszéj? a jeźli znów cały dzień przespał, to cóż się stało z wekslami, które w tym przeciągu czasu, miały mu być wypłacone?...

Wrócił do łóżka, myślał i myślał, i nic wymyśleć nie mógł, a co gorzéj im więcéj przemyśliwał nad tem wszystkiem, tym więcéj plątało mu się w głowie; im więcéj silił się aby nie myśleć, tem uporczywiéj myśl ta powracała. Widmo Marley'a stało mu ciągle na oczach i niepokoiło go niesłychanie; zastanawiał się, rozważał, wmawiał w siebie, że było to tylko senne marzenie, lecz jak sprężyna gdy ją przestać przyciskać, powraca do pierwotnego położenia, tak myśl uparta powracała nieustannie za wsze

jedno stawiając do rozwiązania zadanie: byłże to sen czy rzeczywistość?

Tak minęło trzy kwadranse; Scrooge przypomniał sobie, że widmo Marley'a zapowiedziało mu odwiedziny ducha na godzinę dwunastą—a kwadrans już tylko brak do niéj. Postanowił nie spać i oczekiwać uderzenia godziny—a że zasnąćby w żaden sposób nie mógł, i było to dla niego równem niepodobieństwem, jak gdyby mu ktoś, naprzykład, kazał połknąć księżyc, zatem powziął rozumne bardzo postanowienie.

Kwandrans ten wydał mu się nieskończenie długim, słuchał i słuchał, a nie mogąc się doczekać wybicia myślał że chyba zaspał, aż nareszcie dźwięk zegaru uderzył jego ucho.

Diu—diu.

— Raz! liczył Scrooge.

Diu—diu;

Dwa rzekł sobie.

Diu—diu!

— Trzy! rachował wyraźnie.

Diu—diu!

— Cztery! cztery! zawołał uradowany, północ bije a dachu nie ma.

Wołał tak za nim zegar skończył wydzwaniać dwunastą, lecz w chwili gdy ostatnie wybiło uderzenie rozlegająca się głuchym, posępnym, grobowym dźwiękiem, wielka jasność ukazała się w pokoju, i niewidzialna jakaś ręka odsłoniła kotarę łóżka.

Tak, niewidzialna ręka odsłoniła firankę, Scrooge oparł się na łokciu i usiadł na łóżku, a tuż przed jego oczami ukazał się nadprzyrodzony gość. A dziwna to była postać! niby to dziecko a nie dziecko; wpatrując się lepiej zdawało się że to podeszły już zupełnie staruszek, widziany jakby w tak wielkiej odległości, że kształty jego malejąc skutkiem oddalenia. nadawały mu postać dziecka. Długie białe włosy, jakby posiwiałe wiekiem, spadały mu aż na ramiona, ale na twarzy ani jednej nie było zmarszczki młodzieńczy rumieniec kwitł na policzkach. Ręce były duże i muskularne, zwiastujące niepospolitą siłę. Kształtne łytki i nogi były całkiem obnażone; miał na sobie lśniącej białości tunikę, a w pasie przewiązany był świetlaną szarfą, jasnem połyskującą światłem. W ręku trzymał godło zimy, świeżo urzniętą gałąź hoiny, a jakby dla uwydatnienia sprzeczności, szata jego była bogato przystrojona kwiatami letniemi. Ale najwięcéj zwracał uwagę jasny promień światła bijący od jego głowy, przy pomocy którego doskonale można było widzieć wszystkie powyżej opisane szczegóły; zamiast kapelusza, trzymał pod pachą gasidło, które w chwilach strapienia lub niezadowolnienia kładł na głowę.

Ale najdziwniejszem wydawało się Scrooge'owi, że przepaska jego coraz na inny punkt rzucała światło, tak więc co dopiero było zupełnie rozjaśnionem, za chwilę w czarnej pogrążało się ciemności, i z tego powodu cała jego postać coraz inny przybierała pozór. Już to zdawało się że ma jedną tylko rękę i nogę, to znów że ma ich nie wiedzieć wiele; to widać było głowę bez nóg, znów nogi bez reszty korpusu znikające przed oczami członki, rozwiewały się tak zupełnie, iż najlżejszego ich zarysu nie można było dostrzedz w ciemności, i w jednej chwili, jakimś niepojętym sposobem, wracał do pierwotnej postaci i cały był najwyraźniej widocznym.

— Mam zaszczyt zapytać pana, rzekł Scrooge, czy jesteś owym duchem, którego wizyta została mi zapowiedzianą?

— Tak jest.

Głos był miły i dźwięczny, ale tak cichy, iż zdawało się jakby nie tuż obok, ale gdzieś w oddali się odzywał.

— Któż pan jesteś? jeśli wolno zapytać?

— Jestem duchem przeszłego Bożego Narodzenia...

Scrooge sam nie umiałby powiedzieć, skąd mu przyszła szczególniejsza chęć zobaczyć ducha w jego szczególniejszym kapeluszu, i dla tego prosił aby go włożył na głowę.

— Jakto! zawołało z oburzeniem widmo, więc chcesz koniecznie ziemskiemi twemi rękami zgasić światło bijące odemnie? czyż nie dość że jesteś jednym z tych ludzi, których samolubne namiętności utworzyły ten kapelusz, i zniewalają mnie, abym go przez wieki nosił naciśnięty na czoło?

Scrooge przepraszał najuniżeniej upewniając, że bynajmniej nie miał zamiaru obrazić ducha, i klął się na wszystko, że o ile wie nigdy w życiu nie zajmował się robieniem dla niego kapelusza, a w końcu zapytał uprzejmie co go sprowadza.

— Twoje szczęście! odrzekło widziadło.

Scrooge zapewniał o swojej niewygasłej wdzięczności, w duchu jednak pomyślał sobie: że spokojny i nieprzerywany sen więcej daleko przyczyniłby się do tego. Widać duch czytał w jego myślach, gdyż rzekł surowo.

— A więc twoja poprawa....a mało bardzo masz do niej czasu....

Mówiąc to wyciągnął swoje długie ramię, i lekko biorąc go za rękę, zawołał.

— Wstawaj i chodź ze mną!

Scrooge czuł że musi być posłusznym; wiedział iż daremnie tłomaczyłby duchowi, że to zupełnie niestosowna pora do pieszéj przechadzki; że w łóżku było mu bardzo ciepło, a na dworzu dokuczliwe zimno; że nikt nie spaceruje w szlafroku, w szlafmycy i w pantoflach: nakoniec że mu to wyjście może zaszkodzić na katar.—czuł że nie podobna oprzeć się, choć ręka widma trzymała tak lekko jak ręka kobiety. Wstał więc, lecz widząc że duch zbliża się do okna; uchwycił go za suknię wołając błagalnym głosem.

— Ach! panie duchu! zapominasz że jam tylko prosty śmiertelnik, upadnę i kark skręcę.

— Niech tylko ręka moja dotknie się *tam*, rzekł duch kładąc mu dłoń na sercu, a znajdziesz punkt oparcia w daleko cięższych przeprawach.

Ledwie skończył mówić przeszli przez okno i mur i nagle znaleźli się po nad polami jakiejś wsi; ciemność i mgła rozwiały się w jednéj chwili; miasto znikło gdzieś w dalekiéj oddali; zajaśniał piękny pogodny dzień zimowy, całun śniegowy pokrył ziemię. Scrooge obejrzał się w około:

— Boże mój! zawołał, składając ręce; tu się wychowałem, tu spędziłem dziecinne moje lata.

Duch spojrzał na niego dobrotliwie; owo chwilowe i lekkie jego dotknięcie, zbudziło zamarłe serce starca; miał teraz świadomość licznych wspomnień unoszących się w około niego, a każde łączyło się z tysiącami myśli, nadziei, zamiarów, radości, i smutków, dawno, bardzo dawno zapomnianych!

— Usta twoje drżą, w oczach coś błyszczy, a! i cóż to spostrzegam na policzku? zapytał duch.

— Nie! to nic! odrzekł Scrooge, stłumionym od wzruszenia głosem; ja ani płaczę, ani się lękam.... a na policzku to.... tak sobie. Proszę prowadź mnie gdzie chcesz.

— Czy poznajesz tę drogę?

— Oh! doskonale! zawołał unosząc się... trafiłbym z zawiązanemi oczami.

— Dla czegoż więc od lat tylu zupełnie zapomniałeś o niéj? Chodźmyż dalej.

— I szli drogą, a Scrooge poznawał każdą chatę, każdy drogowskaz, każde drzewo i nareszcie małą w oddaleniu ukazującą się mieścinę, z jéj mostem, kościołkiem i krętą rzeczką. Teraz ujrzał nadbiegające niewielkie konie z długiemi grzywami, na których siedzieli młode chłopcy, i krzycząc i śmiejąc się rozmawiali z innemi dziećmi, jadącemi na wózkach fermierów.

— To tylko cienie przeszłości, rzekł duch; ani się domyślają naszéj obecności.

Wesoła drużyna zbliżała się coraz więcej: Scrooge teraz doskonale rozeznawał ich twarze, i na każdego wołał po imieniu. Dla czegoż widok ich taką mu sprawiał radość? dla czego oko jego zawsze takie suche i bez wyrazu, teraz błyszczało wzruszeniem? czemu serce biło żywiej za każdem zbliżeniem? czemuż doznawał jakiejś niewysłowionej radości, słysząc jak serdecznie winszowali sobie wesołych Świąt, rozstając się na zakręcie drogi? Cóż go mogło obchodzić Boże Narodzenie?.. Głupstwo!...cóż mu kiedy z niego przyszło?

— Spojrzyj na szkołę, jest w niej jeszcze jedno smutne, przez wszystkich opuszczone dziecię; rzekł duch.

— Poznaję go, odrzekł Scrooge z westchnieniem.

Opuściwszy gościniec zawrócili na ścieżkę doskonale znaną Scrooge'owi, i skierowali swe kroki ku posępnéj budowli z czerwonej cegły, ozdobionej małą wieżyczką, w której wisiał nie wielki dzwon. Był to dom obszerny, ale nosił na sobie widoczne ślady smutnych zmian losu; znaczna część jego, oddawna stała pustkami; mury były wilgotne i mchem porosłe, okna bez szyb, drzwi całkiem prawie zbutwiałe. Obszerne niegdyś stajnie zamieniły się w kurnik, opustoszałe wozownie i stodoły chyliły się do upadku. Wszedłszy do domu nie można było dopatrzeć ani śladu dawnej zamożności. Duch wprowadził Scrooge'a do ciemnej sieni, przez otwarte drzwi ujrzeli kilka posępnych, samotnych izdebek, zastawionych bardzo ubogiemi sprzętami; mocna woń stęchlizny rozchodziła się w około: wszystko to zdradzało lodowatą biedę, w skutku której mieszkańcy wstawali przed świtem i szli na zarobek, a wracając nie mieli czem zaspokoić głodu.

Minąwszy sień weszli do wielkiej i ponuréj izby, zastawionej rzędami popsutych sosnowych ławek; na jednej z tych ławek stojących obok kominka słabym płonącego ogniem, siedziało z książką smutne jakieś opuszczone dziecię. Scrooge zapłakał, bo w tem dziecięciu poznał siebie, i przypomniał sobie że w dziecinnych latach zawsze prawie bywał tak samotny i opuszczony.

I każde echo zbudzone w opustoszałym domu, każdy pisk myszy staczających potyczki pod spruchniałą podłogą, każdy szmer spowodowany spadaniem z dachu na wpół zamarzłych kropli wody, każdy szum wiatru igrającego w bezlistnych gałęziach topoli, każda skrzypnięcie poruszanych wiatrem drzwi pustego magazynu, najlżejsze syczenie dogorywającego na kominku ognia, dziwnie rzewne uczucia i wspomnienia budziło w duszy Scrooge'a, i palące łzy spadały mu z oczu.

Cóżby to byli powiedzieli giełdowi koledzy Scrooge'a, gdyby mogli go tak widzieć zalanego łzami i rozkoszującego się dawno wspomnieniami lat dziecinnych? gdyby widzieli niewysłowione, na twarzy jego malujące się wzruszenie.

(d. c. n.)

Opis N. 48.

N. 1—4. Opisy na dodatku z formami.

N. 5. Krawatka z krepy jedwabnéj z dwoma końcami. Forma N. XVI, Fig. 65. Z niebieskiéj krepy przykrojony pasek koło szyi, mający 45 cent. długości, 1 i pół szerokości, oszyty jest z obydwóch brzegów białą 2 i pół cent. szeroką, przymarszczoną koronką, przyczepioną z lewéj strony. Fig. 65 podaje formę końców i wskazuje założenie fałdów; tak końce jak i kokardy 7 i pół cent. szerokie, 6 cent. długie, oszyte są koronką i przewiązane sutym węzłem.

N. 6. Krawatka z jednym końcem. Powyższy krawacik ułożony jest ze skośnych kawałków białéj i różowéj jedwabnéj krepy. Różowy, u dołu w ząb wycięty koniec mający 21 cent. szerokości, 18 bocznej a 12 środkowéj długości, oszyty białą 4 i pół cent. szeroką koronką, składa się w sposób na ryc. 6 wskazany i fałduje w górze. Przyszyte na nim trzy, węzłem przewiązane kokardy, układają się ze skośnych 18 i 14 cent. szerokich kawałków krepy, zeszytych podwójnie i odwróconych. Biały na dół spuszczony pukiel ma 12 cent. górne równolegle przyszyte po 6 cent. długości; z tych ostatnich jeden powinien być różowy drugi biały, a węzeł różowy. Pasek koło szyi mający 1 i pół cent. szerokości, układa się z białéj i różowéj pliski. Taki układ odpowiednio powiększony, służyć może do szarfy przy sukni.

N. 7 i 8. Poduszka do kanapy. Haft na muślinie z podłożeniem tiulu. Deseń na dodatku z krojami Fig. 67—70. Powłoczkę z białego miękkiego perkalu trzymająca 50 cent. w kwadrat, wyściela się włosieniem i watą, i pokrywa kolorową materyją, służącą za podłożenie do haftu. Ten ostatni odrabia się ściegiem wypukłym atłaskowym, oraz supełkami i ściegiem sznureczkowym, na cienkim muślinie, podłożonym prawdziwym bruksełskim tiulem. W dużych kwiatach, w narożnikach, w liściach i arabeskach, pozostawia się w środku muślin, tło między deseniem powinno być tiulowe. Deseń narożnika, brzegów i trochę więcéj jak szóstą część środkowe go wieńca, (podług której łatwo złożyć całość.) podajemy na Fig. 67 — 70. Na tle środkowem pomiędzy rozetą a wieńcem haftuje się muszki. Kwiatek atłaskiem haftowany stanowi środek rozety, któréj tło tiulowe zapełniają kratki. Szlak do oszycia w koło poduszki, podajemy w naturalnéj wielkości na ryc. 8. Połowa każdego liścia robiona j e st atłaskiem, reszta obwiedziona sznureczkowym ściegiem i zapełniona supełkami. W kółku obrobionem sznureczkiem, tło pozostaje gładkie muślinowe. Dziergane zęby zakończone są ząbeczkami koronkowemi.

N. 9. Chustka na głowę jako kapturek, robiona na drutach. Chustki białe, czarne lub kolorowe włóczkowe jako lekkie i ciepłe, bardzo są używane i zarówno służyć mogą przy wieczorowem ubraniu jak i w dzień do zarzucenia na kapelusz w czasie mrozów. Różne desenie tła i szlaków znajdują się w poprzedzających numerach Tygodnika. Dobrze także wydaje się tło robione gładko tam i napowrót, z włóczki niekręconej na grubych drutach, do którego dodaje się w koło szeroką w deseń robioną koronkę. Przy chustkach białych i czarnych, kokarda powinna być kolorowa, chustki jasne zapina się kokardą tego samego koloru.



N. 1. Ubranie wizytowe z vêtement i szerokiemi rękawami. Stanik odpowiedni patrz w N-rze 50 rycinę 11.

N. 2. Strojne ubranie z trzema wolantami i kaftaniczkiem bez rękawów.

N. 10—13. Opisy na dodatku z krojami.

N. 14—15. Kostium „Paulina" z tuniką, stanikiem, z baskiną i kołnierzem kapturkowym. Krój stanika i kołnierza N. I Fig. 1—5. Na ryc. 14 i 15 podajemy z tyłu i z przodu kostium z brązowego wełnianego materjału, z dwoma odmiennemi rodzajami garnirunku, dołączając formę stanika i kołnierza na Fig. 1— 5. Forma tuniki z tyłu podpinanej, z przodu otwartej, zbliżona jest bardzo do vêtement ryc. 18. Dwa przednie bryty mają około 62 cent. przedniéj, 50 cent. bocznéj długości przy 48 cent. górnej i 73 cent. dolnej szerokości. Dwa tylne bryty po 92 cent. długości, 55 górnej, i 72 cent. dolnej szerokości. Na 31 cent. od prostego szwa na środku podcinają się zęby tylnych brytów w ten sposób, iżby przy podcięciu od tyłu pozostało 75, od przodu 50 cent. długości. Tylne bryty na szwie środkowym, a przednie na szwie bocznym, zaszywają się w kontrafałdę 11 cent. głęboką. Garnirunek ryc. 14 stanowi wolant skośny 18 cent. szeroki, przyszyty paskiem futra mającym 3 cent., nad którym dane jest plisowanie w kontrafałdy ułożone, środkiem przeszyte, mające 6 i pół cent. szerokości. Stanik i tunika oszyte są tylko futrem; przy rękawach, których zwierzchnia część powinna być podszyta brązowym fularem, oprócz futra dodaje się plisowanie. Do tego ubrania można dodać pelerynę, podszytą flanelką tego samego koloru i obłożoną futrem. Przy ryc. 15 garnirunek stanowią ciemniejsze plisy aksamitne, wyszyte sutaszem lub jedwabnym sznurem.

N. 16 — 17. Krótki paletocik z fałdą w stanie. Krój N. III Fig. 9 — 13. Ryc. 16 i 17 przedstawia z przodu i z tyłu ten sam paletocik, z dwoma różnemi rodzajami garnirunku. W kontrafałdę założona tylna część baskiny kraje się osobno podług Fig. 12, na baskinę zaś zachodzące plecy podług Fig. 11. Przy wykroju szyi daje się kołnierzyk stojący 2 i pół cent. wysoki. Przy zwierzchniéj stronie przodów zapinanych na kryte guziki, 8 cent. szeroka listewka do dziurek. Granatowy paletocik N. 16, obłożony jest czarnym futrem, wyszyty grubym jedwabnym sznurem i oszyty 6 cent. szeroką jedwabną frendzlą. Paletocik z czarnego aksamitu N. 17, jest oszyty koronką z przyrabianą frendzlą i przybrany pasmanteryją szmuklerską lub odrobioną ręcznie podług podanych w bieżącym Numerze wzorów.

N. 18. Opis na dodatku z formami.

N. 19. Dolman z szerokiemi rękawami. Rysunek podany z tyłu ryc. 47 w N. 47 Tygodnika.

N. 20—21. Kaftanik sukienny dla małéj dziewczynki. Oszycie ryc. 32—33 w N. 47 Tygodnika. Zwykłéj luźnéj formy kaftanik, przykroić można podług formy do ryc. 43, dając 33 cent. długości i 98 centy. dolnego obwodu. Kołnierz w ząb ścięty z tyłu, powinien mieć środkowéj szerokości 9, z przodu 6, a na ramionach 3 i pół centymetra.—

Na ryc. 20 podany jest z przodu, kaftanik sukienny koloru cielistego. Garnirunek złożony z zębów sukiennych, wypustek atłasowych ciemniéjszego koloru, i wyszycia z jedwabnego brązowego sznura, przedstawia w naturalnéj wielkości próbka ry. 29 w N. 47 Tygodnika. Trzy atłasowe brązowe guziki, służą do zapinania kaftanika. Kaftanik przedstawiony z tyłu na ryc. 21, jest z sukna mienionego, z rękawami obcisłemi. Pod zęby wycięte u dołu w maszynie, podłożone są od spodu zęby z sukna ciemniejszego koloru, przystębnowane dwa razy z wierzchu. Nad tem przyszyty jeszcze garnirunek ryc. 28 w N. 47 Tygodnika. Na wązkich rękawach koło ręki, dodane nieco wystające wyłożenie 11 cent. szerokie przystrojone takim samym garnirunkiem jak paletocik.

N. 22 — 23. Kaftaniczki dla dzieci. Krój jak do ryc. 1 w N. 46 Tyg. Mód. Ryc. 22 przedstawia biały flanelkowy kaftaniczek, zapinany na dwa rzędy guzików. Garnirunek złożony z ząbków flanelkowych i sutaszu, podług próbki ryc. 26 w N. 47 Tygodnika. Przy kaftaniczku pąsowym ryc. 23, garnirunek stanowią proste 3 cent. głębokie nacięcia, dawane w odstępie 4 cent. które z brzegów wycinają się w drobniutkie ząbki. Nad ząbeczkami naszyty 2 lub 3 razy, wązki biały sutasz.

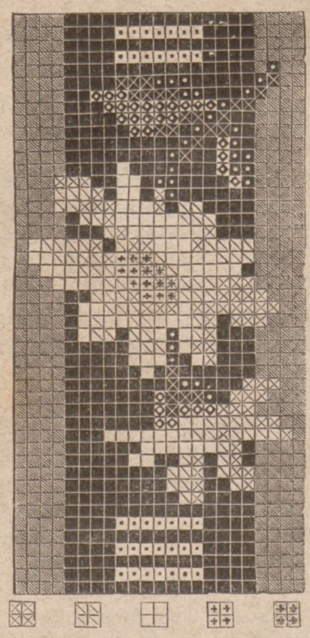
N. 24 —25. Paletocik wcinany do stanu, dla chłopczyka od lat 3—5. Krój N. VI Fig. 26—31. Paletocik z zimowego czekoladowego kortu (ryc. 24) zapinany na guziki i przepasany paskiem, obłożony jest w koło wązkim paskiem brunatnego futra. Przy paletociku podanym z tyłu na ryc. 25, futro zastąpione jest pliskami 1 i pół cent. szerokiemi z materyi tego co kort koloru, przyszytemi ciemniejszym sznurkiem jedwabnym. Przy rękawach, na klapach z tyłu i na kołnierzu, dodane jest ubranie z plisek i sznura, którego próbka znajduje się na ryc. 24 w N. 47 Tygodnika. Szamerunek z grubego sznura zakończony kwastami, naszywa się w sposób na rycinie wskazany na plecach i pasku.

N. 26 — 27 Paletociki z pelerynami dla panien od lat 14—17. Krój N. IV Fig. 14 do 19. Forma przodów jest przy obydwóch paletotach jednakowa. plecy zaś przy ryc. 26 są trochę wcięte lecz gładkie, a przy ryc. 27 więcéj obcisłe w stanie i od pasa w głęboką kontrafałdę założone. Do każdego paletota podajemy oddzielną formę pleców.

N. 26. Paletot haftowany z peleryną. Krój Fig. 14, 16 do 19. Czarny z tyłu rozcinany paletocik powinien mieć z przodu 55 z tyłu 60 cent. długości, peleryna złożona z dwóch nie zeszytych części, ma z przodu 38, z tyłu 43 cent. długości i 90 c. dolnego obwodu. Sześć cent. szeroka, ciemna futrzana frendzla i wyszycie łańcuszkowe, wykonane podług Fig. 21 jedwabiem białym, strojnie zdobią paletocik. Cała peleryna wyszyta ściegiem łańcuszkowym w pierożki, mające 2 cent. średnicy, w środku których dodane białe supełki. Przody zapięte na 3 szmuklerskie guziki.

N. 27. Paletocik z fałdą w stanie. Krój i deseń wyszycia Fig. 14 — 15 i 17 — 20. Długość przodów i pleców oznaczona jest na Fig. 14 i 15, a miara rękawów peleryny i stojącego kołnierza na Fig. 17—19. Brzegi zeszycia powinny być z lewéj strony płasko jedne na drugie założone i zaprasowane, a następnie pod wręb-

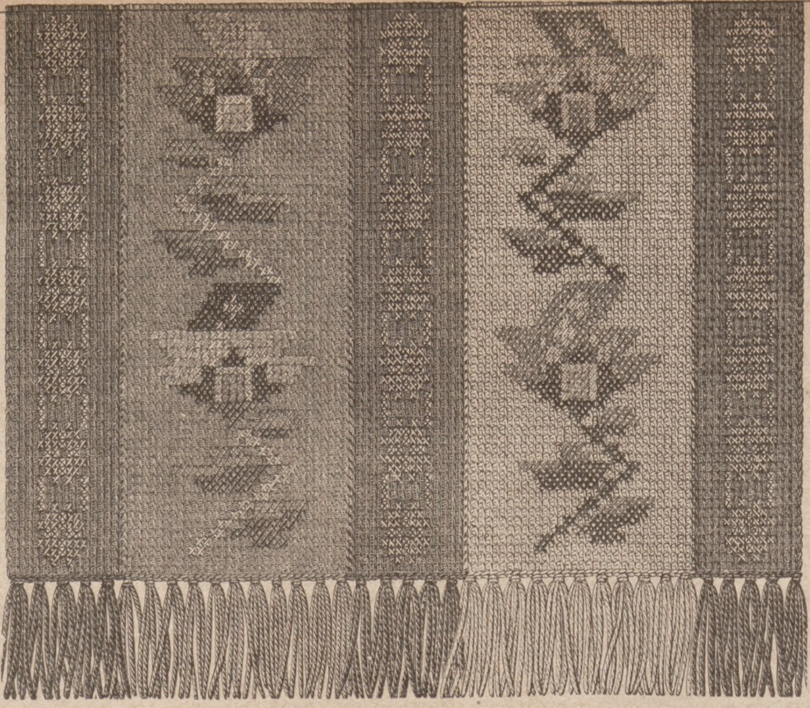
kiem, ściegiem krytym zeszyte. Podług Fig. 18 przykrojone dwie oddzielne części peleryny, w koło stębnówką obrąbione, pozostają nie zeszyte, tylko pod szyją objęte razem, w wązki pasek atłasowy. Stojący kołnierzyk i rękawy wraz z klapą aż do *h*, są także atłasem objęte. Dół peleryny oszyty jest czarną wełnianą kwastową frendzlą, która dodana jest także przy szmuklerskiej agrafie na zaszyciu fałdy, Fig.



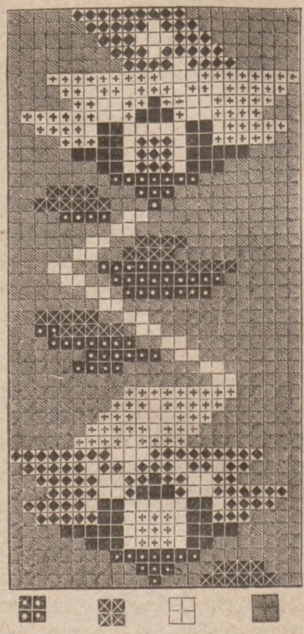
ciemniejszy pierwszy drugi biały, złoty, pomarańczowy cień popielaty.

pierwszy ciemniejszy. drugi, trzeci maisowy jedwab cień zielony,

N. 8. Deseń na pas szeroki do ryc. 7.



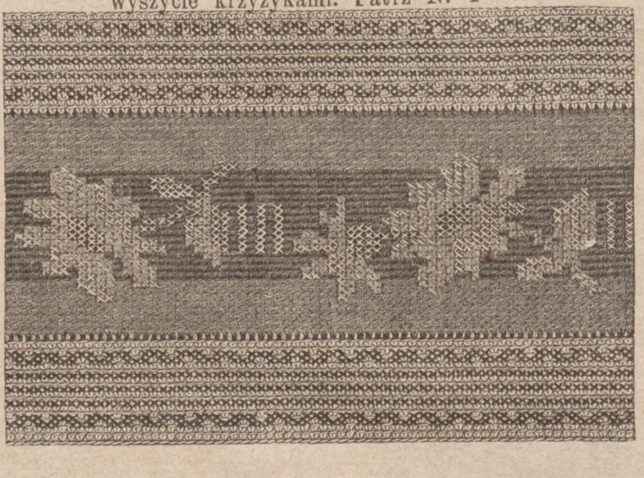
N. 3. Kołdra lub dywanik w pasy. Robota tunetańska, wyszycie krzyżykami. Patrz N. 4—6.



pierwszy cień drugi, trzeci jasny ponsowy cień [illegible]nzowy

czarny, morderowy, fijołkowy

N. 4. Deseń na pas szeroki do ryc. 3.

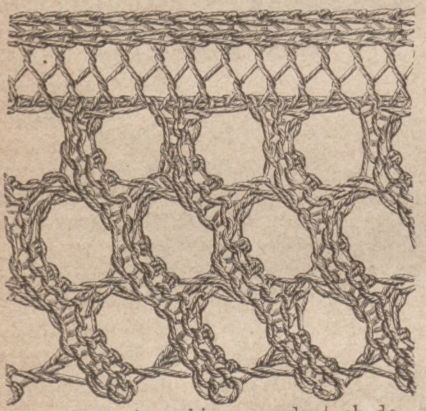


N. 7. Wzór na kołdrę lub dywanik podróżny.

20 podaje deseń wyszycia sznurem i torsadeczką.

N. 28—29. Opisy na dodatku z krojami.

N. 30—31. Paletocik wcinany z fałdą w stanie' dla dziewczynki od lat 3—5. Krój N. VI Fig. 26—28 29a—31. Głęboka fałda zaszyta w pasie, stanowi różnicę paletocików dla dziewczynek, od gładkich, przeznaczonych dla chłopczyków. Krając plecy podług Fig. 28 przypuścić materjału, podług oznaczonéj linii i strzałki, zacząwszy od wcięcia stanu.



N. 9. Koronka robiona na drutach do kapturków, chustek i t. p.

Z przodu odrysowana ryc. 30, przedstawia paletocik z materjału o długim włosie, bez żadnego garnirunku, tylko objęty jedwabną wypustką.

Rycina 31 przedstawia z tyłu paletocik z brązowego sukiennego wyrobu, którégo przód na wierzch zachodzący, stojący kołnierz, szerokie rękawy i dziurki od guzików, objęte są wązką, brązową, atłasową pliską. Na spód zachodząca strona przodu i dół obrębione są krytym ściegiem. Wyszycie daje się podług Fig. 29a, dwoma cieniami sznurka jedwabnego brązowego, z których ciemniejszy użyty tylko do wyszycia dolnych zębów deseniu. Kokarda dana na przyszyciu fałdy w pasie, składa się z 4 pukielków atłasowych, przepiętych węzłem z tego co paletocik materjału, pod którą poddany jest takiż kawałek mającyy 11 centy. długości i 20 szerokości, środkiem przemarszczony, a z brzegów na frendzelkę wysiepany. Przody zapięte na 3 atłasowe guziki.

N. 32. Kokarda do podpięcia z boku tiuniki.

Odznaczająca się zgrabnością i prostotą kokarda, układa się z haftowanego skośnego kawałka materyi, podszytego sztywnym muślinem.

N. 33—34. Mantyla dla starszych osób.

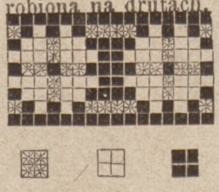
Mantyla aksamitna, kaszmirowa, albo z materji jedwabnej, kraje się podług zwykłej, okrągłej, formy peleryny, zważając ażeby nitki szły



N. 11. Bluzka robiona na drutach. Patrz ryc. 12.



N. 6. Wyszycie krzyżyków na tle szydełkowem do N. 7. Wielkość naturalna.

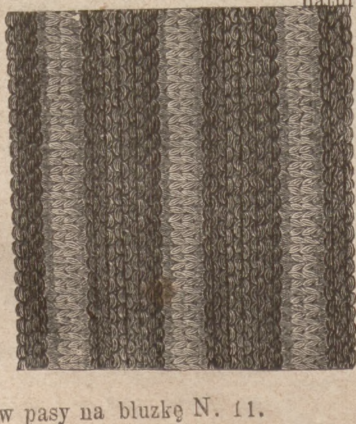


jasno bronzowy, biały, czarny

N. 5. Deseń na wązki pasek.



N. 15. Robota tła na drutach do spódnicy podanej w N. 50 ryc. 26.



N. 12. Robota w pasy na bluzkę N. 11. Wielkość naturalna.

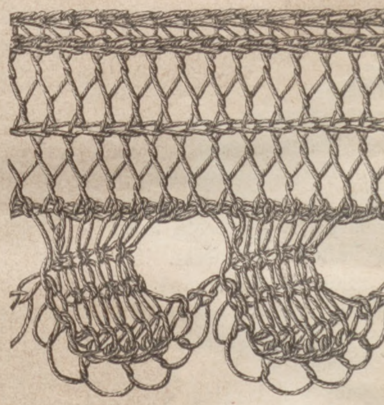


N. 13. Szydełkowa sukienka dla dzieci. Patrz N. 14.

prosto na środku z tyłu i po brzegach z przodów. Długość z tyłu wynosić powinna 48, z przodu 38 centy. objętość dolnego obwodu, 190 centymetrów. Na szerokie końce potrzeba przedłużyć dolne brzegi przodów do 70 centy. długości, potem zostawić w prostym dolnym brzegu końców, 26 centy. długości, ścinając trochę skośnie ku górze brzegi zewnętrzne, ażeby szerokość przy mantyli wynosiła tylko 20 centy.

Przy końcach, w samej pelerynie, daje się na ręce, nacięcie proste 9 centy. długie, widoczne na ryc. 34. Garnirunek tejże ryciny, stanowi koronka 6 centy. szeroka, dana na dwie strony i przeszyta środkiem jedwabną szydełkową pasmanteryją, odrobioną podług próbki ryc. 19. w N 47 Tygodnika. U dołu przy końcach i przy pelerynie naszyta jest jeszcze koronka 11 centy. szeroka.

Przy podanym z tyłu modelu ryc. 33 środkiem między koronką dana pasmanteryja, której próbkę podaliśmy w N. 47 Tygod. ryc. 20. Z koronki szerszej środkiem zeszytej i wywiniętej, ułożony jest zgrabny kapturek.



N. 10. Koronka z podwójnem zakończeniem, robiona na drutach.

Kokardy układają się z kawałków jedwabnego rypsu, mających od 12 do 14 centy. szerokości, zeszytych w dwoje i odwróconych, a w końcach na frendzelkę wysiepanych. Długość węzłem przepiętych kawałków wynosi [illegible] cent. końców 26 i 30. centy. Wązki pasek przyczepiony [illegible] stanie z tyłu, do spodu peleryny, zapinać można [illegible] przodu na końcach lub pod końcami.

[N]. 35. Vêtement zwane „Polonaise" Krój jak do ryc: [3]8. Garnirunek ryc. 30 w N. 47. Tygodnika.

Model przedstawia Vêtement ciemnozielonego koloru, podszyte pąsową flanelką. Garnirunek stanowią zęby aksamitne ciemniejszego odcieniu, oszyte w górze sznurkiem czarnym jedwabnym, u dołu koronką wełnianą z przyrabianą frendzlą.

N. 36. Vêtement zwane „Polonezką"

Zwierzchnie to ubranie może służyć do każdej ciemnej sukni, a nawet do aksamitnej brązowej spódnicy, odrobione jest z miękkiej i wełnistej brązowej lamy. Całe przystrojenie stanowią wąziutkie brązowe prosto naszyte aksamitki i takież guziki. Brązowy skórzany pasek z dużą oksydowaną sprzączką, służy zarazem do przyczepiania mocnego łańcuszka, z krótkim, modnym obecnie parasolem.



14. Paski przyozdabiające sukienkę Robota szydełkowa N 13

N. 37. Rękaw przystrojony kokardami i guzikami. Zobaczyć guzik ryc. 11 w N. 47 Tygodnika.

Na czarnym jedwabnym rękawie dane jest wyłożenie, mające w środku 11, z brzegów 14 centy. szerokości, oszyte w koło kolorową wypustką z grubym sznurem. Z pod tej wypustki przy zwierzchniem zeszyciu rękawa, dodane są kokardy i końce z kolorowej materji, złożonej podwójnie. Każda kokarda powinna mieć 5, a koniec 12 centy. długości i 4 i pół centy. szerokości. Guziki oszyte są czarną materyą i wyszyte kordonkiem.



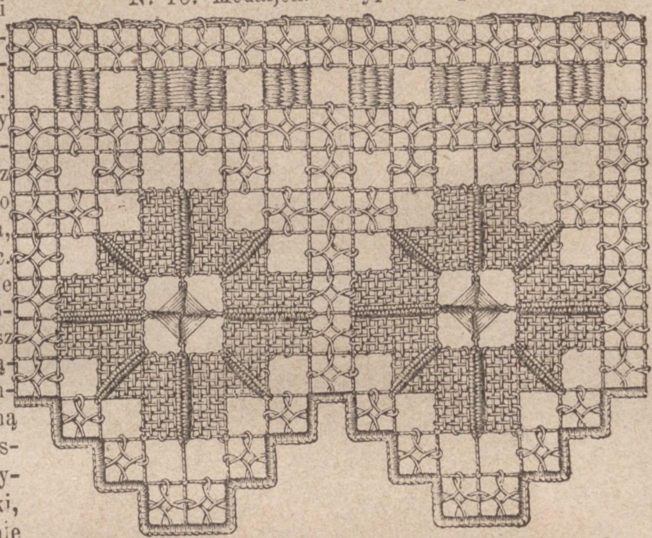
N. 17. Wiązany kapelusz z końcami tiulowemi.

N. 38. Paletot z krótką pelerynką dla panienki od lat 14—17. Krój N. IV Fig. 14 i 16 do 19.

Na Fig. 16 oznaczone są linje zmniejszające lub powiększające formę, stosownie do wieku i wzrostu, fig. 17 podaje pół szeroki z boku otwarty rękaw, na Fig. 18 widzimy rysunek pelerynki wraz z linjami do zmniejszenia, które do ryc. 58 właśnie są zastosowane. Nasz ciemno brązowy sukienny paletocik, oszyty jest futrzaną frendzlą, przyszytą czarną wełnianą torsadką albo pasmanterją, odrobioną podług próbki N. 14 w N. 47 Tygodnika. Przody zapinane są na kryte guziki i dziurki, do których dodane są od spodu osobne listewki, zupełnie z wierzchu nie widoczne.



N. 16. Medaljon. Wypukła aplikacja.

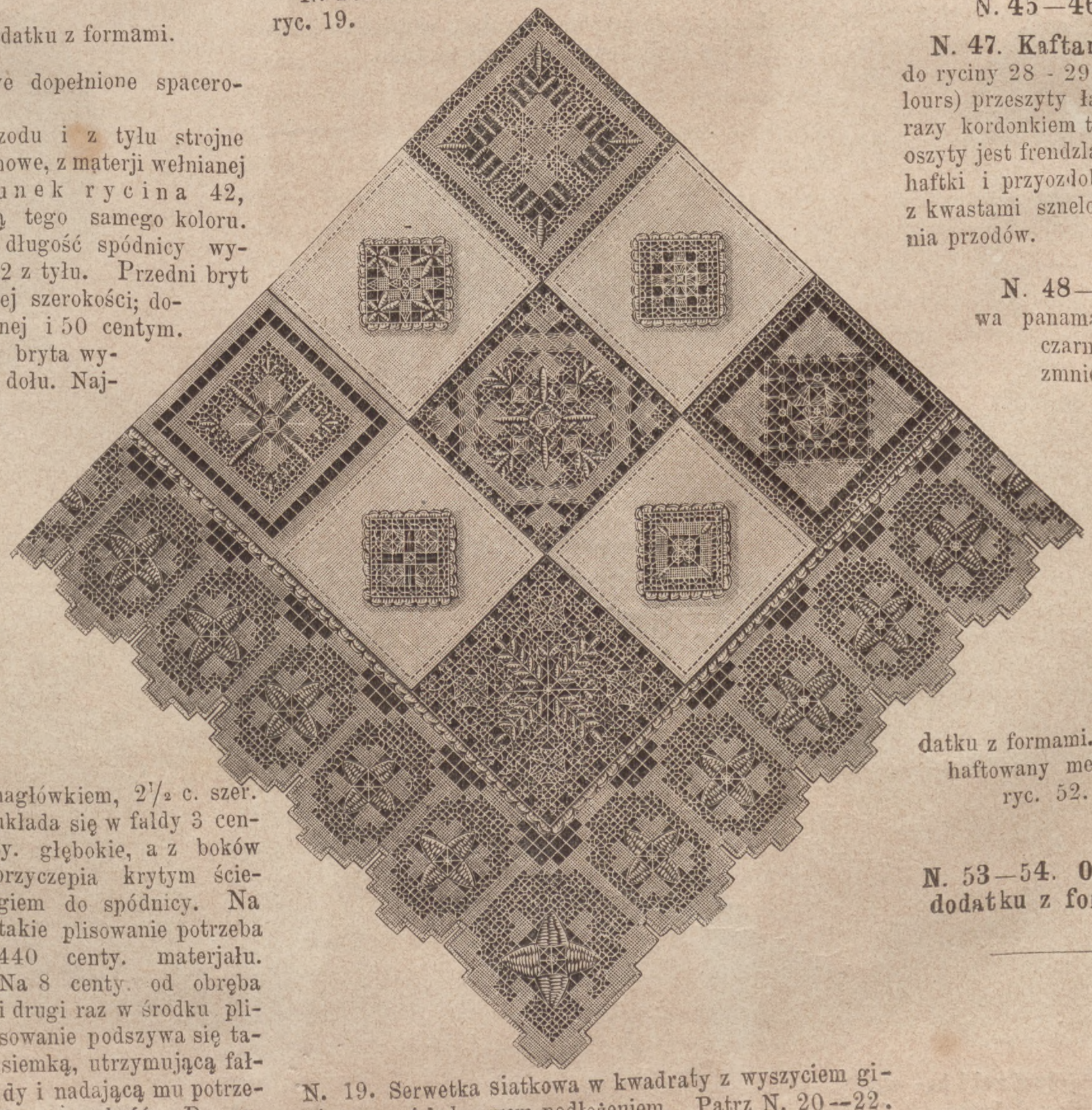


N. 20. Szlak siatkowy z wyszyciem gipiurowem do ryc. 19.

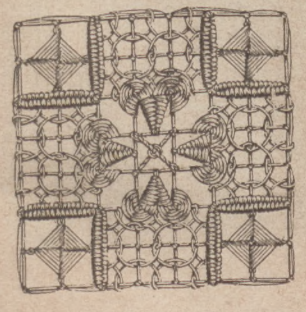
N. 39—40. Opisy na dodatku z formami.

N. 41—42. Ubranie domowe dopełnione spacerowym paletocikiem z pelerynką.

Powyższe ryciny podają z przodu i z tyłu strojne i niezwykłego układu ubranie domowe, z materji wełnianej koloru rezedowego. Garnirunek rycina 42, dopełniony jest koronką wełnianą tego samego koloru. Krój stanika jak do ryc. 14—15; długość spódnicy wynosi 112 centy. z przodu i 132 z tyłu. Przedni bryt ma 24 centy. górnej i 62 c. dolnej szerokości; dodane do niego kliny po 12 górnej i 50 centym. miary dolnej. Szerokość tylnego bryta wynosi 40 centy. w górze, a 62 u dołu. Najpierw dodaje się do bryta i klinów przednich, naszyte w ząb kolisty, plisowanie, które z brzegów ma 37, w środku 14 c. szerokości; nad nim naszyte także w ząb kolisty, 3 proste w kontrafałdy układane, 12 c. szerokie falbanki, przedzielane odstępem 5 centy. które na zakończeniu z boków przypięte są puklami z aksamitki ciemniejszego koloru. Z tyłu plisowanie zajmujące 90 centy. długości, zakończone w górze nagłówkiem, $2^1/_2$ c. szer. układa się w fałdy 3 centy. głębokie, a z boków przyczepia krytym ściegiem do spódnicy. Na takie plisowanie potrzeba 440 centy. materjału. Na 8 centy. od obręba i drugi raz w środku plisowanie podszywa się tasiemką, utrzymującą fałdy i nadającą mu potrzebną szerokość. Do ryciny 41, dodany jest paletocik bez rękawów z pelerynką, oszyty frendzlą jedwabną przerabianą kulkami wełnianemi nieco ciemniejszego koloru. W ten sposób dopełnione ubranie, tworzy bardzo strojną spacerową toaletę.



N. 19. Serwetka siatkowa w kwadraty z wyszyciem gipiurowem i kolorowem podłożeniem. Patrz N. 20—22.



N. 21. Kwadracik siatkowy z wyszyciem gipiurowem do ryc. 19.

N. 43—44. Płaszczyk z pelerynką i marynarskim kołnierzem dla dziewczynki od lat 6—8. Krój N. V fig. 22—25. Garniruuek ryc. 27 w N. 47 Tygodnika.

Płaszczyk z pelerynką i marynarskim kołnierzem odrobić można z dubeltowego materjału sukiennego albo z cieńszéj gładkiéj wełnianej tkaniny, na watowanéj podszewce, krając podług zwykłéj formy paltosaka.

Pelerynka okrągła powinna mieć z przodu 27 z tyłu 36 centy. długości i 140 dolnego obwodu, pszyszywa ją się do wykroju szyi listewką rypsowąjedwabną; następnie kołnierz marynarski objęty rypsem przy wykroju, przyczepia się od spodu do wyżéj wzmiankowanéj listewki. Ryc. 43 przedstawia płaszczyk z dubeltowego materjału sukiennego przybrany podług próbki garnirunku ryc. 27 w N. 47 Tygodnika, podanej w połowie naturalnéj wielkości. Garnirunek ten składa się z pluszu i pasków sukna, wyciętych w ząbki w maszynie.



N. 18. Wiązany kapelusz z końcami ze wstążki.

Do lżejszych materjałów właściwszy będzie garnirunek, złożony z czarnych plisek aksamitnych, wyszycia z sutaszu i frendzli z kwastami futrzanemi, jaki podajemy przy ryc. 44.

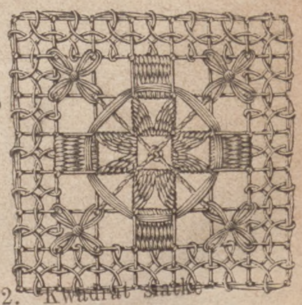
N. 45—46. Opisy na dodatku z krojami.

N. 47. Kaftanik z aksamitu wełnianego. Krój jak do ryciny 28 - 29. Kaftanik z aksamitu wełnianego (velours) przeszyty łańcuszkiem lub przestębnowany kilka razy kordonkiem tego samego co materjał koloru, u dołu oszyty jest frendzlą sznelową, z przodu zapinany na kryte haftki i przyozdobiony grubemi jedwabnemi sznurami z kwastami sznelowemi, które pozornie służą do wiązania przodów.

N. 48—50. Pas do dzwonka. Materjał: Kanwa panama, sznela i kordonek brązowy, sznela czarna i sznur złoty. Ryc. 50 podaje w zmniejszeniu końcowy kawałek pasa do dzwonka wyszytego sznelą i kordonkiem, podszytego brązowym kaszmirem, oszytego z brzegu grubym jedwabnym sznurem i zakończonego sutym kwastem. Próbkę wyszycia i desenie podajemy pod ryc. 48 i 49 w naturalnej wielkości.

N. 51—52. Teka ze stojącym postumentem. Opis na dodatku z formami. Zobacz haftowany medaljon ryc. 52.

N. 53—54. Opisy na dodatku z formami.



N. 22. Kwadrat siatkowy do ryciny 19.

Opis do N. 49.

N. 1. Ubranie wizytowe z puszczonemi u Vêtement rękawami. Zobaczyć stanik z baskiną ryc. 11 w N. 50 Tygodnika.



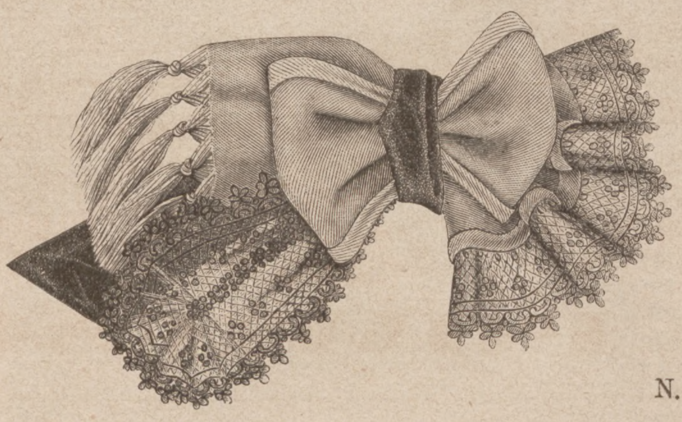
N. 24. Kokarda z kwiatami do włosów.



N. 27. Czepeczek muślinowy poranny.



N. 23. Kokarda z muślinu i krepy jedwabnej.



N. 26. Kokarda z krepy jedwabnej i koronki.



N. 28. Czepeczek z czarnego tiulu.

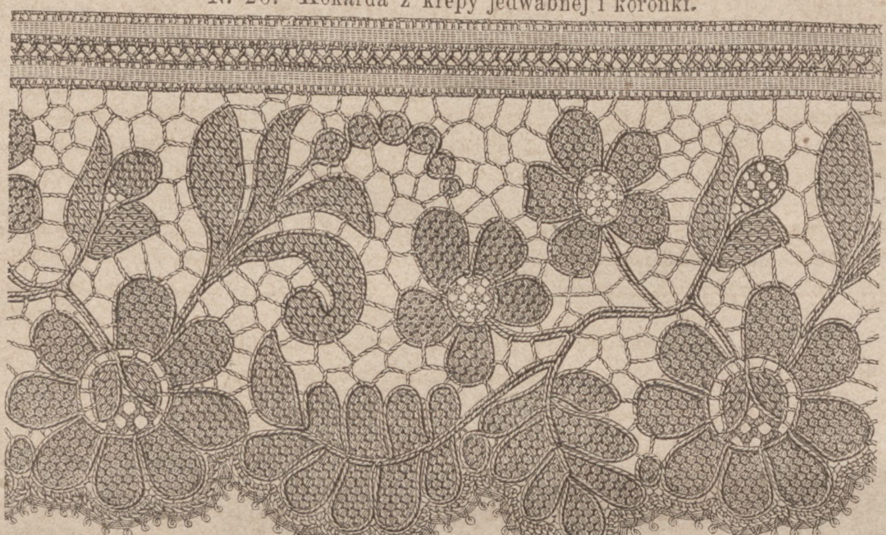


N. 25. Kokarda z ptaszkiem do włosów.

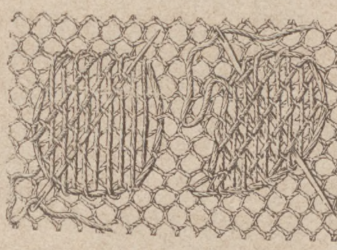
Gładka ciemno zielona wełniana suknia, u dołu oszyta jest fałdowanym wolantem, nad którym na dwie strony naszyte marszczone falbanki, mają ząbki objęte zielonym atłasem, a rzucik haftowany jedwabiem. Środkiem między falbankami, dana plisa aksamitna z atłasowemi wypustkami zakończona z obydwóch brzegów wązkiem wełnianem plisowaniem. Cały garnirunek zajmuje 36 do 40 centymetrów. Na vêtement wyhaftowany taki rzucik jak na falbanach, garnirunek z a ś s t a n o w i jedna stosownie zwężona falbanka, aksamitna pliska, i jedno plisowanie. W miejsce otwartego z przodu Vêtement, można dodać zamkniętą tunikę i stanik z baskiną, przedstawiony na ryc. 11 w N. 50 Tygod. a przykrojony podług formy paletotowych, zwężając przez całą długość szwa zewnętrznego obiedwie połowy prawie o 3cią część, dodając w to miejsce bufę skośną, marszczoną i przepinaną pliskami aksamitnemi. Bufa ta podszyta sztywną podszewką powinna mieć 82 centym. długości, 28 górnej, a 12 dolnej szerokości. Epoletki, falbana i plisa aksamitna dopełnia strojne ubranie rękawów.

N. 2. i ryc. **43** w N. 50 Tygodnika. **Ubranie** salonowe z trzema wolantami i kaftaniczkiem b e z rękawów. Trzy równéj szerokości wolanty trochę na siebie zachodzące, pokrywają całą suknię, naśladując potrójną spódniczkę. Lekkie podpięcie z boków, odejmują prostym linjom zbyt nużącą jednostajność. Ładny model z bastu écru, oszyty był 5 cent. szeroką gipiurą, przyszytą raz u dołu każdéj falbany, drugi raz na niéj, w odstępie 4 centymetrów od brzegu. Kaftaniczek z białego kaszmiru bez rękawów przystrojony jest gipiurowemi wstawkami, wyszyciem ze sznura i szeroką koronką, która z przodu kokardami przeplatana, naśladuje ładny żabot. Wązkie rękawy od sukni, przybrane są także kokardami z czarnego aksamitu i koronką.

(d. n.)



N. 31. Koronka do przybrania sukni, chusteczek i t. p. Ścieg koronkowy i wyszycie na tiulu.



N. 32—33. Robota kwiatków wyszytych na koronce N. 31.



N. 29. Chusteczka wykładana z krepy jedwabnej i koronki. Przód do ryc. 30. Krój patrz na dodatku N. XVII. Fig. 66.



N. 30. Wykładana chusteczka z jedwabnej krepy i koronki. Plecy do ryc. 29.